

ISSN 1897-4139

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

NR 6 (73), LISTOPAD – GRUDZIEŃ 2016

piastun



DWUMIESIĘCZNIK MIESZKAŃCÓW GMINY MIEJSCE PIASTOWE



Jan Tulik

Gloria i pył

Znów sypnęło gołębiami świetlistymi Aniołami
krucze mroki pierzchły za adwentu próg

Jak opisać Pierwszą Gwiazdę gęstą nocą
z brodą srebrną jak promienie co migocą
Gwiazdę która mruga bezkres świetlnych lat
- że na skraju wieczoru Nadzieja ?

Dla niej podziel ten wieczór na dwoje
na pył
zetrzyj
kruchy opłatek na serce na duszę na szron

Posłuchaj jak śpiewa Jutrzni dzwon:

*Powrócili pastuszkowie z gwiazdami
Trzej królowie dla Dzieciątka z darami*

*Zaśpiewali Mu kolędę Anieli
jeden z trąbą drugi z cytrą, weseli*

Gloria Gloria Gloria

Bielą srebrem diamentowo
śpiewa Jutrzni dzwon

Wesołych Świąt Bożego Narodzenia i Szczęśliwego Nowego Roku 2017 życzą

*przewodniczący Rady Gminy
Wiktor Skwara*

*wójt gminy
Marek Klara*

*zastępca wójta
Stanisława Gawlik*

**Wszystkim Mieszkańcom Gminy Miejsce Piastowe
życzymy szczęśliwych, wartych pamięci,
przeżytych w zgodzie ze światem i samym sobą,
pełnych życia i miłości Świąt Bożego Narodzenia
oraz nadziei na Nowy 2017 Rok,
aby był lepszy od tego, który właśnie mija**

*dyrektor oraz pracownicy
Gminnego Ośrodka Kultury w Miejscu Piastowym*

piastun



DWUMIESIĘCZNIK MIESZKAŃCÓW GMINY MIEJSCE PIASTOWE

Piastun 6 (73) listopad – grudzień 2016

W numerze:

TEMAT NUMERU

4 Historia francuskiego żołnierza Roberta Benedica

AKTUALNOŚCI

- 9 Rajd do Lasu Grabińskiego
Święto niepodległości w Widaczu i Targowiskach
- 10 Podpułkownik Jakub Koziół upamiętniony
Barbórka w Widaczu
- 11 Aleksander Mercik o powiatowych inwestycjach drogowych
w gminie
- 12 Ogłoszenie o wodach opadowych
- 13 Świętowali 50. rocznicę ślubu
- 14 Zdjęcia jubilatów
- 16 Mini-Art w Miejscu Piastowym
- 17 Pogórzanie w Kamieniu Śląskim
- 18 Rogowskie mikołaje

Z ŻYCIA

20 Ksiądz Wiesław Marecki na misjach w Kamerunie

HISTORIA

- 23 Dr Grzegorz Wrona o historii Miejsca Piastowego
- 25 O tym, jak powstawał dom Floriana w Targowiskach
- 26 Pożar w Miejscu w 1892 r.

SPORT

- 27 Rozmowa z Kacprem Bieszczadem o debiucie w młodzieżowej
reprezentacji Polski
- 28 Wiktor Mosoń o Łemkowynie i innych biegach
- 31 Strażacy w turnieju siatkówki
- 32 Rozgrywki szczypiornistek
- 33 Bieg w Widaczu po raz drugi

PIASTUN – DWUMIESIĘCZNIK MIESZKAŃCÓW GMINY MIEJSCE PIASTOWE

Redakcja: ul. Dukielska 14, 38-430 Miejsce Piastowe, tel. 13 43 097 66, e-mail: piastun@vp.pl

Redaktor naczelny: Izabela Póchlópek (509 437 433), **Zespół redakcyjny:** Bartłomiej Bieszczad, Izabela Drobek, Stanisława Gawlik, Janinia Gołąbek, Marek Klara, Magda Penar, Leszek Zajdel, korektor – Halina Pleśniarska

Redakcja zastrzega sobie prawo redagowania i skracania materiałów. Za treść zamieszczonych ogłoszeń i reklam redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Miejscu Piastowym, ul. Dukielska 2B, 38-430 Miejsce Piastowe, tel. 13 435 30 74, www.gokmp.net.

Czasopismo zarejestrowane jest w Sądzie Okręgowym w Krośnie pod numerem Pr.3/07. Zrzeszone jest także w Polskim Stowarzyszeniu Prasy Lokalnej.

Realizacja wydawnicza i druk: Wydawnictwo Ruthenus – Rafał Barski, ul. Łukasiewicza 49, 38-400 Krosno, tel. 13 436 51 00, www.ruthenus.pl
Skład: Katarzyna Chochołek

ISSN 1897-4139, nakład: 1400 egz.



s. 4



s. 13



s. 20



s. 23



s. 25



s. 27



s. 28



s. 34

Na okładce: Antepedium ołtarza bocznego w kościele pw. Nawiedzenia NMP w Miejscu Piastowym (fot. Izabela Póchlópek)

Historia Roberta Benedica z francuskiego Romelfing

Epizod z czasów II wojny światowej

Nazwisko Roberta Benedica dziś w Rogach i Wrocance nic nikomu nie mówi. A nazwa Romelfing tym bardziej. Żeby było ciekawiej, w samym Romelfing też niewiele wiedzą o Robercie, a o Rogach czy Wrocance zupełnie nic. Kim więc był tytułowy Robert Benedic i co przywiodło go z alzackiego Romelfing w nasze okolice? Po zeszłorocznych świątkach Bożego Narodzenia, po kilkunastu latach nieudanych prób odnalezienia śladu tego człowieka, zwykły przypadek sprawił, że sporo się na jego temat dowiedziałem. Oto jego historia.



W Rogach, niedaleko mojego domu rodzinnego, choć już z dala od wsi, stoi dom Dziegłów (dziś raczej kojarzony z Muszyńskimi, bo z ręką jednej z córek dom zmienił właścicieli). Z *polą* lub z *pól* – tak ich nazywają. Bo nie mieszkają, jak prawie wszyscy dawniej w Rogach, przy rzece, ale na górach. Dopiero od niedawna drogę do nich można pokonać łatwiej, bo gmina położyła betonowe płyty. Ale warto się pomęczyć, aby się tam wspiąć. Piękne widoki na całą Kotlinę Krośnieńską, Beskid Niski i Pogórze zrekompenzują trud. Do tego jest tam kapliczka, która skrywa ciekawą tajemnicę.

O kapliczce i tajemnicy wiedzieliśmy w Rogach od dawna. Kilkanaście lat temu z Janiną Gołąbek zbieraliśmy historie związane z rogowskimi kapliczkami. Tak trafiliśmy *na pola*. Piękny i stary Chrystus Frasobliwy ma tu swój dom na okazałej lipie. Nikt nie wie, kiedy powieszono skrzynkę z ową rzeźbą. Skrzynka, gdy ją wtedy oglądaliśmy, była już mocno zniszczona. W ramach pierwszego projektu Stowarzyszenia Miłośników Wsi Rogi, który był finansowany przez Fundację Wspomagania Wsi, Jan Jucha zrobił nową. Konserwatorzy z Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku za-

bezpieczyli zaś rzeźbę. Ale nie to było najważniejsze. Wtedy, był to chyba rok 2000, zanotowaliśmy opowieść Kazimierzy Muszyńskiej o jakimś Francuzie, Robercie, co ukrywał się w ich domu w czasie wojny i zostawił po sobie, na pamiątkę, małą buteleczkę. W niej zaś umieścił zrobione przez siebie drobne rzeźby: krzyż, drabinę, włócznię i gąbkę na kijku. Był to jego dar za uratowane życie. Buteleczka przetrwała te wszystkie lata i nadal stoi u stóp Chrystusa.

Żeby wszystko jeszcze raz sobie powtórzyć umówiłem się ostatnio – dzięki uprzejmości Bogusławy Niziołek – na rozmowę z Kazimierą Muszyńską, z domu Dziegłowiec. Rocznik 1933. W czasie opisywanych zdarzeń miała 11 lat. Na tyle dużo, by samej coś zapamiętać, choć o Francuzie mówić nie było wolno. Bo to przecież strach.

W Rogach pod swój dach przyjęli go Aleksander Dziegiel i Katarzyna z domu Uliasz – rodzice Kazimierzy. W domu rodzinnym mieszkała jeszcze Józefa, urodzona w 1931 roku. Aleksander, znany we wsi z surowego charakteru i twardej ręki, zgodził się na propozycję partyzantów, aby przyjąć Francuza. Pani Kazimiera wymienia – jako tych, co go przyprowadzili – jednym tchem Franciszka Kochana, Adolfa Knapa, Jana Gładysza, choć jest to już raczej późniejsze przypisanie. Bo każdy we wsi wiedział, kto był w partyzantce.

Rodzin *na polach* było dwie, choć domów trzy. Jeden drewniany – Kopaczów, po którym już nic nie zostało. Drugi był murowany – Dziegłów. Ale murowany, z którego dziś zostały już tylko resztki fundamentów i ścian, nie spełniał ocze-

kiwań swoich lokatorów. Wilgoć szła ścianami, aż strach zbierał. Z tego powodu, jeszcze w czasie wojny, Aleksander Dziegiel wybudował nowy dom, tym razem drewniany, który – choć pusty – stoi do dziś. Murowany zaś poszedł na bróg i przejął funkcję gospodarczą. Robert ukrywał się u Dziegłowiec najpierw w domu murowanym, potem w drewnianym.

Robert siedział całymi dniami na strychu, w sianie. Dzieci do niego na górę nie wychodziły, a i on nie starał się nawiązać kontaktu z kimkolwiek. Nie wolno było. Do tego przecież dochodziła bariera językowa. Dziegłowiec znali tylko polski, Benedic tylko francuski i niemiecki, choć dziś już wiemy, że trochę polskiego znał. Więc łatwo nie było.

Schodził na dół jeść, nieczęsto. – *Czy był chudy, czy gruby?* – pytam. Na to pani Kazimiera odpowiada mądrze – *A kto we wojnę był gruby? Jeść nie było co. A Dziegłowiec musieli przecież – oprócz dwóch dziewczynek (kolejna, trzecia córka, Genowefa, przyszła na świat dopiero w 1945 roku) – utrzymać Francuza, który coś jeść musiał, a w gospodarce nie pomagał, bo mu w dzień wychodzić z domu nie było wolno. – Jeszcze by kto myślał, że chowają jakiego Żyda i dopiero byłby problem. Wszystkich by zastrzelili* – dodaje sentencjonalnie pani Kazimiera. Mnie się zaś zdaje, że jakby Francuza znaleźli, to wymigać się od plutonu egzekucyjnego lub zesłania do obozu koncentracyjnego też nie byłoby łatwo.

Dom Dziegłowiec rzeczywiście był idealny do ukrycia się. Z górki widok jest i na



Aleksander Dziegiel z żoną Katarzyną



Dom Dziegłów w Rogach, w którym ukrywał się Francuz; obok niego okazała lipa ze starą kapliczką

Miejsce, i na drogę na Lubatową, i na drogę na Duklę, i na drogę na Iwonicz. A dostać się tam można szybko tylko starą drogą od kościoła, którą także widać jak na dłoni. Do tego zawsze czmychnąć wąwozem do potoków czy Lasu Grabińskiego nietrudno.

Niezwykła siła przypadków

Opowieść tę – mniej lub bardziej dokładnie – znałem i wcześniej (bo jedno z rodzinnych pól mieliśmy tuż obok domostwa Muszyńskich), choć nigdy nie dawałem jej zbytnej wiary. Bo niby skąd Francuz *na polach*? Skąd by się tam wziął, i do tego jeszcze w czasie wojny? Ale przez kolejne lata wertowałem książki o lokalnym ruchu oporu, wspomnienia partyzantów, googlowałem w Internecie w poszukiwaniu jakiegokolwiek potwierdzenia tych informacji. Z czasem – głównie dzięki znajomości z Czesławem

Nowakiem z Muzeum Podkarpackiego w Krośnie – pewne informacje udało się zdobyć. Pojawiło się nazwisko, ustaliliśmy też związek z Franciszkiem Kochanem, szefem rogowskich partyzantów. Ale nic ponadto. Żadnych konkretów.

Czasami tak mam – gorączka, zły humor, spać nie mogę, „nosi mnie”. Wtedy szukam książek „do połknięcia” – zachłannie, na szybko, na chybił trafił. Zawsze wtedy znajdę coś w swojej bibliotece. Boży palec zawsze coś wskaże (a może rekompensata za chorobę?). W tamtą noc sięgnąłem po książkę Stanisława Okęckiego *Cudzoziemcy w polskim ruchu oporu 1939-1945*, wydaną przez Interpress w 1975 roku. Znalazła się u mnie przypadkowo wraz z innymi książkami z księgozbioru śp. ks. Adama Sudoła z Sanoka (podziękowania dla siostry Maksymiliana). A w niej na stronie 203 i 204 przeczytałem:



W kapliczce z Chrystusem Frasobliwym Robert Benedic na pamiątkę zostawił małą buteleczkę

W czerwcu 1943 r. powołany został do służby w Wehrmachcie Francuz Robert Benedic rodem z Romelfing (dep. Moselle) w Lotaryngii. Na początku lipca 1943 r. Benedic zbiegł w pełnym uzbrojeniu z jednostki stacjonującej w Krośnie – do lasu. Józef Kucza napotkał go na drodze Wrocanka – Miejsce Piastrów i przyprowadził do oddziału partyzanckiego AK (dowódca ppor. Franciszek Kochan, PS. „Obłóński”), w którego szeregach brał udział we wszystkich akcjach bojowych. W czasie jednej z wypraw został ciężko ranny, przebywał najpierw w Bóbrce, gdzie leczył go dr Ferens, a po wyleczeniu został przetransportowany do siostry Stefanii Kozłowskiej we Wrocance (k. Krosna), gdzie przebywał aż do czasu wyzwolenia tych terenów.

Bingo!

Choć mowa była o Wrocance, a nie Rogach, to imię i nazwisko się zgadzało, podobnie osoba Franciszka Kochana. Widocznie nasz Francuz często zmieniał miejsca, gdzie się ukrywał. O pomyłce nie mogło być mowy.

Tyle i aż tyle napisał Okęcki (dziś wiem, że powtórzył relację Józefa Kuczy), ale ten krótki akapit wypełniony jest masą przydatnych informacji, które posłużyły mi do częściowego rozwikłania zagadki.

Natychmiast wyszukałem w Internecie informacje o Romelfing, małym miasteczku, gdzie urodził się Robert i napisałem do tamtejszego mera Bernarda Weinlinga. Mail był po angielsku i miałem wątpliwości, czy został odczytany, bo znana jest niechęć Francuzów do języka sąsiadów zza Kanału La Manche. Szczęście jednak mi sprzyjało. Po kilku dniach przyszła odpowiedź, którą sporządził Jean Claude Benedic. Niestety zbież-



Od polskiego konsula w Strasburgu Robert Benedic odebrał Krzyż Partyzancki



Listy Józefa Kuczy (na zdjęciu po prawej) do Roberta Benedica są w zasadzie jedynym dokumentem poświadczającym wojenne losy młodego Francuza



ność nazwisk – która od razu przyprawiła mnie o szybsze bicie serca – okazała się przypadkowa, ale tamtejszy urząd na moją prośbę o kwerendę odpowiedział z nawiązką. Robert Benedic rzeczywiście urodził się w Romelfing. Przyszedł na świat 22 sierpnia 1925 roku. Już po wojnie, w 1953 roku ożenił się z Marią Teresą i przeniósł się do Thionville (jakieś 150 km od Romelfing), gdzie zmarł 29 kwietnia 1994 roku. Jean Claude poinformował mnie też, że nikt z tej rodziny nie mieszka już w Romelfing.

Od ręki napisałem więc do urzędu miasta w Thionville, licząc, że i tym razem uda mi się czegoś dowiedzieć. W Romelfing mój mail nie mógł pozostać niezauważony. Mer przekazał go do Jeana Clauda, a tam mieszka niecałe 400 osób. Wszyscy się znają, spraw jest pewno mniej. Ale Thionville to już zupełnie inna historia i skala. Ponad 40 000 mieszkańców, trzecie co do wielkości miasto Lotaryngii. Wystarczyłoby, że mail zostałby potraktowany jako jakaś reklama lub spam. Ale nie! Solidarność urzędnicza jest silniejsza niż granice i języki. Po kilku dniach przyszła odpowiedź i skontaktowałem się ze mną syn Roberta Benedica! Wtedy po raz pierwszy poznałem Serga Benedica. A potem napisał jeszcze Jean Luc. I tak mailowaliśmy przez kilka miesięcy, wymieniając się informacjami, dokumentami, zdjęciami. Prawie wszystko stało się jasne.

Historia Roberta Benedica

W życie młodego Roberta wojna wkradła się w 1943 roku. Został wówczas zmobi-

lizowany. Po trzymiesięcznym przeszkoleniu skierowano go na front wschodni. Przyszeregowany został do wojsk lotniczych Luftwaffe. Dla niego front wschodni oznaczał służbę na krośnieńskim lotnisku. Tutaj pełnił służbę wartowniczą. Aż pewnego dnia postanowił uciec. Jego losy już po dezercji z lotniska możemy prześledzić dzięki temu, że zachowały się listy słane od lat 60. do Francji przez pochodzącego z Wrocanki Józefa Kuczę, ówczesnego dyrektora Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Krośnie. Synowie Roberta przechowali je, choć ich treść pozostawała dla nich tajemnicą. Kucza pisał bowiem po polsku, bo Robert Benedic podobno trochę władał naszym językiem (był wśród Polaków ponad rok, więc musiał opanować choć trochę mowę). We Francji Robert nie spisał wspomnień, niewiele także opowiadał o czasach wojennych rodzinie – było to dla niego zbyt emocjonalne wspomnienie. Dlatego te listy są tak ważne, bo w zasadzie są jedynym dokumentem poświadczającym losy wojenne młodego Francuza. Także ja historię Roberta opowiłem słowami listów Józefa Kuczy.

22 grudnia 1967 roku Kucza tak pisał w pierwszym liście do Benedica:

Zapewne zdziwisz się otrzymawszy ten list, który piszę w imieniu swoim oraz wszystkich Twoich znajomych z okresu pobytu w Polsce, a ściślej mówiąc w naszej wiosce Wrocance koło Krosna. Przypominam Ci się, że jestem tym, który spotkał Cię w polach, kiedy zapytywałeś się – czy daleko do granicy francuskiej i że skierowałem Cię

do partyzantki polskiej. Jestem tym, który mieszkał zaraz w Twoim sąsiedztwie. Ty natomiast mieszkałeś u mojej siostry stryjecznej St. Kozłowskiej, a jej synowie to Karol i Józef. A kiedy przyszli do nas nasi wyzwoleńcy, tj. wojska radzieckie – wówczas razem ze mną szedłeś do Krosna i zgłosiłeś się do Władz.

Od tego czasu nie wiedzieliśmy nic o Tobie, niejeden raz wspominaliśmy się, czy żyjesz, czy też całkiem zaginąłeś. Będąc raz na zebraniu w Bóbrce – również i tam Panie zapytywały się czy czegoś nie wiem o Robertcie, czy on żyje itd.

W czasie pobytu Prezydenta De Gaulle w naszym kraju, znów przypomnieliśmy sobie o Robertcie i postanowiłem za pośrednictwem Waszej Ambasady, względnie Konsulatu Generalnego w Krakowie odszukać Ciebie – no i nareszcie otrzymaliśmy Twój adres.

Wtedy Internetu nie było, ale dla chcącego nie było rzeczy niemożliwych! Po 20 latach od zakończenia wojny Kucza odnalazł kolegę, choć pisanie na Zachód w powojennej Polsce nigdy nie było mile widziane.

Ich spotkanie miało miejsce koło wroczeńskiej kaplicy św. Rozalii. W jednym z kolejnych listów pojawia się więcej szczegółów, bo Kucza namawia kolegę do opracowania wspomnień, które mogłyby się zacząć:

(...) od tego momentu, jak spotkaliśmy się w polach między Miejscem Piastowym a Wrocanką. Poszedłem na całego, bo przecież Pan wówczas był uzbrojony i mógł mię z miejsca zaaresztować. Przecież mógł to być z powodzeniem prowokator. No ale skończyło się wszystko dobrze. Pamiętam,

że Pan też bardzo się bał, bo przecież nie wiedział, co ja za jeden. Powiedziałem Panu, aby poszedł do tego lasu zwanego „Dębina” i czekał, a tam przyjdą polscy chłopcy „partyzanci” i Pana zabiorą do swego oddziału. Po zejściu moim do Gminy Miejsce Piastowe, gdzie pracowałem (jako kasjer – M.K.) – zaraz wysłałem łącznika z organizacji ruchu oporu do Rogów, gdzie byli moi znajomi.

Dziwne to musiało być spotkanie. Kucza – rocznik 1907, po gimnazjum w Sanku i studiach w Krakowie (historia na Uniwersytecie Jagiellońskim), po odbytej służbie wojskiej, udziale w kampanii wrześniowej, krótkiej niewoli u Niemców, czynnie zaangażowany w ruch oporu (pseudonim „Góra”). Benedic – rocznik 1925 (a więc 18 lat młodszy), niedługo po ucieczce z wojska, za którą groził mu sąd wojenny i rozstrzelanie, w zasadzie mógłby być synem Kuczy. Ten moment próby nerwów łatwo mógł skończyć się strzelaniną. Ale obaj podeszli do tego z zimną krwią. Co było potem?

Robert Benedic zadekował się na Dolnej Wrocance (u Kozłowskich). A noce spędzał na partyzantce. Przynależał do oddziału Franciszka Kochana, pseudonim „Leszek Obłoński”. To do niego skierował go Kucza. W ramach działań bojowych uczestniczył w wielu akcjach. W innym liście kolejny towarzysz broni, Zdzisław Szymański (po wojnie mieszkał na Przedmieściu Dubieckim), tak wspomina te czasy:

Dla przypomnienia podaję swój pseudonim „Janosik”, „Bohun”. Na pewno utkwiły Ci w pamięci nasze przeprowadzone akcje w Bóbrce, Równem, Dukli, Zboiskach, Zręcinie i Iwoniczu Zdroju. Mnie utkwiło w pamięci Twoje naśladowanie śpiewu ptaków itp. Zawsze byłeś pogodny, uśmiechnięty.

Benedic ofiarnie służył w Armii Krajowej. Musiał być zaprzysiężony, skoro dopuszczono go do działań bojowych i broni. Ryzykował podwójnie, jako dezerters z armii niemieckiej. W jednej z akcji został ranny, bo Kucza pyta go tak:

Ciekawi nas, czy pamiętasz Wrocankę, Bóbrkę – czy pamiętasz lekarza Ferensa, który leczył Ci nogę? W tej chwili jest On ordynatorem w szpitalu w Jasle.

Może jako rekonwalescent przebywał w Rogach? Nie wiadomo.

Robert Benedic myślał, że wraz z wejściem armii radzieckiej we wrześniu 1944 roku wojna się dla niego skończy-

ła. Ujawnił się w Krośnie wobec nowych władz. I słuch po nim zaginął. Do domu we Francji powrócił dopiero po roku, ważył wtedy 45 kg. Waga niezwykła, jak na wysokiego mężczyznę. Własna matka go nie poznała, gdy zapukała do drzwi rodzinnego domu.

W 1972 roku Kucza zaczął list tak: *Za przesłany list, w którym opisuje Pan za pośrednictwem swego Kolegi o pobycie w obozie – składam podziękowanie. Dowiedzieliśmy się o losach Pana po pożegnaniu z nami we Wrocance. W tych dwóch zdaniach zamyka się dramat człowieka zdradzonego. Według informacji ustnych Robert został w Krośnie aresztowany i wydany Sowietaom. Kolejny rok spędził w nieludzkiej niewoli – rodzina wspomina nazwę Tambow. Jest to miasto położone 500 kilometrów od Moskwy, gdzie w czasie wojny i po jej zakończeniu Rosjanie więzili Francuzów związanych z armią niemiecką (*Malgré-nous*). W obozie oznaczonym numerem 188 zginęło – według szacunków – z głodu, chorób i wycieńczenia nawet 10 000 Francuzów. Robertowi udało się wrócić. Może dlatego tak niechętnie wracał pamięcią do tamtych wydarzeń?*

Po dojściu do siebie pracował w gospodarstwie rodzinnym, a później w firmie kolejowej. Ożenił się. Z żoną, która żyje do dziś, dochował się czterech synów,

którzy otrzymali imiona: Jean-Luc, Claude, Serge, Jean Noel. Z inicjatywy Józefa Kuczy w 1972 roku otrzymał nadany przez Radę Państwa Krzyż Partyzancki, który odebrał od polskiego konsula w Strasburgu. Do Polski, mimo wielokrotnych zaproszeń, nigdy nie przyjechał. Zmarł w 1994 roku.

PS. Synowie idą śladami ojca

Rozwiązując zagadkę Roberta Benedica, od razu pomyślałem, że fajnie byłoby zaprosić do Polski jego synów. Kurtuazyjne sformułowania padały w mailach, ale – powiem szczerze – przez myśl mi nie przeszło, że tak się stanie. A pewnego dnia czterech jego synów spakowało się i samochodem przemierzyło pół Europy, by stanąć tam, gdzie 70 lat wcześniej stał ich ojciec. Więc kiedy Serge napisał mi, że się wybierają do nas, moje uczucia skakały od radości do lekkiego strachu. Jak to będzie w realu?

Przyjechali 22 września. Umówiliśmy się w miejscu zakwaterowania, w Suchodolskim Wodniku. Czterech sympatycznych panów w średnim wieku oczekiwało na mnie na parkingu. Okazało się, że wszyscy mówią świetnie po angielsku (znowu przecząc przysłowiowej niechęci do języka Anglików). Wieczór spędziliśmy w restauracji „Posmakuj” na krośnieńskim rynku (która to restauracja – jak wszyscy



Serge Benedic z buteleczką, w której jego ojciec umieścił zrobione przez siebie drobne rzeźby



Synowie Roberta Benedica (od lewej): Jean-Luc, Claude, Jean-Noel i Serge



Claude (na drabinie) chciał zobaczyć miejsce, gdzie ukrywał się jego ojciec



Z wizytą u Kazimierzy Muszyńskiej, pamiętającej Roberta Benedica

wiedzą – jest targowiską enklawą w Krośnie). Pochwałę – kuchnia i regionalne piwo przypadło im bardzo do gustu.

Kolejny dzień był pełen wzruszeń. Jeździliśmy śladami ojca – trasą, którą on przebył piechotą. Pierwszy przystanek był na krośnieńskim lotnisku (było otwarte, nikt nas o nic nie pytał, gdy płataliśmy się po płycie lotniska i budynku z tarasem widokowym). Potem odwiedziliśmy Cmentarz Komunalny i zapaliliśmy znicze na grobie Józefa Kuczy. Kolejnym przystankiem było Prywatne Muzeum Podkarpackich Pól Bitewnych. Dzięki uprzejmości Lesława Wilka zwiedziliśmy ekspozycję, która mieści się w schronie przeciwlotniczym, stanowiącym element infrastruktury krośnieńskiego lotniska. Pan Lesław świetnie opowiadał! Gorąco polecam to mało znane muzeum (www.muzeumkrosno.pl)! Z muzeum – przez Suchodół i Głowienkę – dojechaliliśmy do kaplicy św. Rozalii. Tu obejrzeliliśmy kaplicę i studzienkę. Krótka przerwa na kawę była w urzędzie (obowiązkowo bez mleka!). Urząd też się podobał. Potem

do zagrody w Rogach i na pola. Tam były już łzy wzruszenia. Ojcowiska butelka w ręce (*Ojciec lubił pracować z drewnem. Kiedy byliśmy dziećmi robił dla nas drewniane zabawki. I teraz, kiedy o tym myślimy, uклада się to w spójną całość. Nie jesteśmy w stanie na 100 procent powiedzieć, czy to, co jest w butelce, on wyrzeźbił, ale bardzo prawdopodobnie...*), rzut oka na strych w drewnianym domu Dzięglów, rozmowa z panią Kazimierą. I szybko do Wrocanki, gdzie przyjęli nas Urszula i Leszek Uliaszowie (zwiedzanie domu i piwnicy, gdzie siedzieli partyzanci). Tam dojechała do nas Renata Machnik z Radia Rzeszów, dzięki czemu już kilka dni później słuchacze na całym Podkarpaciu mogli poznać ciekawą historię Roberta Benedica. W naszym domu koło krzyża w Targowiskach spotkaliśmy się z Teresą Romankiewicz, córką Józefa Kuczy. Pani Teresa uczyła mnie historii w krośnieńskim Koperniku (gdybym ja wtedy wiedział, że ona może znać tę historię!!!). A dzień zakończyliśmy wspólnie biesiadując. W sobotę był czas na za-

kupy (oczywiście – szkło) i kawę w „Caffe Antonio” (wyśmienita kawa, a ucieliśmy sobie także rozmowę po włosku, bo i ten język znali nasi Francuzi). Potem była jeszcze wizyta w Bóbrce, gdzie byliśmy na miejscu konspiracyjnego szpitalika, gdzie leczył się Robert. Tu podziękowania należą się Tadeuszowi Rygaliłkowi z Rogów za pomoc w ustaleniu lokalizacji i obecnemu właścicielowi - szpitalik był w domu Saukopowej w Bóbrce, a działka dziś należy do Stanisława Mackosia.

Pożegnaliśmy się ze wzruszeniem na Górze Rogowskiej. Oni ruszyli na Zachód, do Francji. A ja do pracy. Padło też zaproszenie do rewizyty. Miło byłoby poznać Marię Teresę Benedicową. Kto wie... Obiecali, że po powrocie do Francji poznaną historię ojca, ludzi i miejsca jej właśnie przedstawią. *Nasza mama ma już swoje lata i podchodzi do tego bardzo emocjonalnie. Powiemy jej, że spotkaliśmy tutaj bardzo przyjaznych ludzi* – powiedział Claude Renacie Machnik. Najważniejsze, że teraz już wszyscy u nas wiedzieć będą, jak to z Francuzem z pól było.

Rajd do Lasu Grabińskiego

W piątek, 11 listopada, chcąc uczcić 98. rocznicę odzyskania niepodległości i oddać hołd wszystkim tym, którzy zginęli za naszą Ojczyznę, uczniowie Szkoły Podstawowej w Rogach wraz z nauczycielami, rodzicami i dziadkami wyruszyli już po raz piąty pod pomnik pomordowanych do Lasu Grabińskiego. Po drodze zapaliliśmy świecę pamięci przy obelisku na rogowskim cmentarzu i pomodliliśmy się przy grobie ś.p. księdza proboszcza Ryszarda Strzępka.

Na wędrowkę wyruszył z nami także ksiądz Mirosław Mateja, który jest inicjatorem tego rajdu. Idąc polami, mogliśmy podziwiać piękne krajobrazy naszej okolicy, trzeba było jednak także często patrzeć pod nogi, gdyż błota nie brakowało. Po drodze zatrzymaliśmy się przy kapliczce Chrystusa Frasobliwego, która

znajduje się przy domu państwa Muszyńskich. Tutaj Janina Gołąbek opowiedziała nam piękną historię francuskiego żołnierza, który w czasie wojny ukrywał się w pobliskim domu.

Przy pomniku w Lesie Grabińskim ks. Piotr Piskorz poprowadził wspólną modlitwę za pomordowanych i za wszystkich tych, którzy oddali życie za naszą Ojczyznę. Wysłuchaliśmy także krótkiej historii o tym, co wydarzyło się w tym miejscu 72 lata temu. Następnie przedstawiciele naszej szkoły złożyli kwiaty i zapalili znicze pod pomnikiem. Na zakończenie odczytany został wiersz napisany przez ludowego poetę Tomasza Tomkiewicza, opisujący tamte tragiczne wydarzenia.

Droga powrotna minęła bardzo szybko. Przy Zagrodzie Etnograficznej na wszystkich uczestników czekała już upie-



czona kielbaska i gorąca herbata, przygotowana przez niezawodnych i zawsze chętnych do pomocy rodziców. Oczywiście nie mogło zabraknąć śpiewów. Przy dźwiękach gitary i akordeonu zaśpiewaliśmy kilka pieśni patriotycznych.

*Beata Bałuka
Fot. Urszula Stanisł*



W Widaczu i Targowiskach

Z okazji Święta Niepodległości w Widaczu został odsłonięty pomnik. Poświęcony jest pochodzącym z tej miejscowości mieszkańcom, którzy stracili życie w czasie wojen i prześladowań w XX wieku.

Na pomniku upamiętnione zostały osoby: Helena Kilar, Franciszek Kielar, Filip Rysz, Tomasz Frydrych, Jan Liwocz, Andrzej Ząbik, Zygmunt Koziół, Paweł Woźniczka, Józef Frydrych, Janina Kokoszka, Paweł Pojnar, Edward Czekański ps. „Jaskółka”, Bronisław Ryglewicz, Władysław Sidor.

Z kolei w Targowiskach poświęcona została tablica upamiętniająca ks. Ludwika Gromadzkiego, proboszcza w Targowiskach w latach 1841-1846,

propagatora idei powstania krakowskiego z 1846 roku, więźnia twierdzy Spielberga w Brnie.

O osobach upamiętnionych więcej w następnym numerze.

Red.



Podpułkownik Jakub Koziół upamiętniony

W tym roku gminne Święto Niepodległości odbyło się w Łężanach. Podczas uroczystości odsłonięto pamiątkową tablicę poświęconą łążańskiemu żołnierzowi ppłk. Jakubowi Koziłowi.

Uroczystości zainaugurowała msza święta za Ojczyznę w kościele parafialnym. Nawę główną wypełniły poczty sztandarowe wystawione przez Gminę Miejsce Piastowe, 18 Drużynę Harcerską z Łężan, szkoły i jednostki straży pożarnej z terenu gminy. Oprawę liturgii przygotowali – pod opieką Anny Perhon – uczniowie Szkoły Podstawowej w Łężanach oraz harcerze 18 Drużyny Harcerskiej im. Stefana Czarnieckiego, a także schola parafialna i Orkiestra Dęta Gminy Miejsce Piastowe. Ksiądz w swej homilii przywołał i podkreślił wagę trzech najważniejszych dla każdego Polaka wartości: Bóg, Honor, Ojczyzna, a za wzór postawy patriotycznej wskazał Danutę Siedzikównę (ps. Inka) – 17-letnią sanitariuszkę, która zginęła bohaterską śmiercią w czasach reżimu komunistycznego.

Po nabożeństwie nastąpił uroczysty przemarsz pod pomnik Krzyż, gdzie wójt gminy Marek Klara oraz wiceprzewodnicząca Sejmiku Województwa Podkarpac-

kiego Dorota Chilik, w asyście harcerzy, złożyli wieniec.

Główna część obchodów odbyła się w sali Domu Ludowego w Łężanach, rozpoczęła się uroczystym odśpiewaniem hymnu Polski. Podniosłym momentem wieczoru było poświęcenie i odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci ppłk. Jakuba Koziła – żołnierza Legionów Józefa Piłsudskiego, uczestnika wojny polski-bolszewickiej, szefa sztabu operacyjnego obrony Warszawy w 1939 r. Sylwetkę oraz dokonania łążańskiego bohatera przybliżył zebrany wójt gminy.

Po części oficjalnej pieśni wojskowe zagrała gminna orkiestra dęta z Miejsca Piastowego pod batutą Miłosza Markiewicza. Kolejnym punktem programu było przedstawienie pt. „Żyli prawem wilka”, przygotowane przez Agnieszkę Bednarz i kółko teatralne Szkoły Podstawowej w Łężanach. Poświęcone było ono Żołnierzom Wyklętym i miało przypomnieć, że odzyskanie niepodległości okazało się jedynie wstępem do dalszej walki o suwerenność naszej ojczyzny w XX wieku. Młodzi aktorzy w formie teatru cieni zaprezentowali bohaterską walkę żołnierzy podczas II wojny swia-



towej, ich późniejszy opór wobec władzy komunistycznej, a następnie prześladowania oraz zbrodnie na nich dokonywane. Po zakończeniu inscenizacji swoje talenty wokalne zaprezentowali soliści ze Studia Gama z Miejsca Piastowego.

Ostatnią częścią obchodów było, już tradycyjne dla mieszkańców Łężan, wspólne śpiewanie pieśni patriotycznych intonowanych przez harcerzy z 18 Drużyny Harcerskiej pod opieką drużynowej Doroty Jurczak oraz Wojciecha Rygła.

Agnieszka Bednarz, fot. Janusz Węgrzyn

O ppłk. Jakubie Koźle w przyszłym numerze

Odeszli od nas...

- 25.10 – Janina Jakubowicz (87 lat) z Rogów
- 28.10 – Marianna Czekañska (94 lata) z Targowisk
- 08.11 – Teresa Siuta (79 lat) z Miejsca Piastowego
- 10.11 – Krystyna Skwara (70 lat) z Targowisk
- 20.11 – Jan Kochan (75 lat) z Rogów
- 23.11 – Bogdan Uliasz (48 lat) z Wrocanki
- 27.11 – Janina Kubal (86 lat) z Targowisk
- 28.11 – Zygmunt Koziół (80 lat) z Miejsca Piastowego
- 02.12 – Zofia Wiśniowska (88 lat) z Wrocanki
- 03.12. – Zofia Gazda (79 lat) z Głowienki
- 02.12 – Franciszek Zajdel (83 lata) z Głowienki
- 04.12 – Jan Muszyński (77 lat) z Rogów
- 06.12 – Stanisław Kubal (60 lat) z Targowisk
- 07.12 – Bernard Bryś (48 lat) z Miejsca Piastowego
- 07.12 – Stanisław Szarek (88 lat) z Łężan
- 09.12 – Stanisław Guzik (98 lat) z Głowienki

W tym roku barbórka w Widaczu

Pięknym zwyczajem z okazji dnia św. Barbary stały się spotkania gwarków górniczych z Targowisk i Widacza zapoczątkowane w 2003 roku.

3 grudnia 2016 roku w kościele pw. św. Małgorzaty w Targowiskach została odprawiona msza święta w intencji górników. Modliliśmy się, za przyczyną św. Barbary, za górników naftowców i pracowników gazownictwa z naszej parafii oraz za tych, co odeszli na wieczną szychotę, a także w intencji ich rodzin. Prosililiśmy o Boże błogosławieństwo w pracy, o zdrowie i pomyślność, by wykonywana praca przynosiła sukcesy i satysfakcję. Prosililiśmy św. Barbarę, patronkę górników, o opiekę i wstawiennictwo, by wykonując ten trudny i niebezpieczny zawód, zawsze cali i zdrowi mogli wracać do swoich rodzin.



Po nabożeństwie górnicy udali się pod figurę św. Barbary przy targowiskiej kopance „Wiktoria”, gdzie złożono kwiaty i oddano hołd patronce górników. Następnie wszyscy górnicy przybyli do sali Domu Ludowego w Widaczu, gdzie sołtys Stanisław Kokoszka i Jacek Winiarski zaprosili gości i brać górniczą do wspólnej biesiady.

www.parafiatargowiska.manifo.com

Dwa lata w powiecie

O powiatowych inwestycjach na drogach gminnych rozmawiamy z dyrektorem – urzędującym członkiem Zarządu Powiatu Krośnieńskiego Aleksandrem Mercikiem, mieszkańcem Targowisk.

BARTEK BIESZCZAD: W listopadzie minęły dwa lata od wyborów samorządowych, w których uzyskał pan mandat do reprezentowania Gminy Miejsce Piastowe, a także Gminy Krościenko Wyżne w Radzie Powiatu Krośnieńskiego. Półmetek kadencji to dobry czas na podsumowanie i podzielenie się informacjami o tym, co udało się zrobić, szczególnie na drogach, bo z ramienia pełnionej funkcji w Zarządzie Powiatu bezpośrednio za nie pan odpowiada.

ALEKSANDER MERCIK: Dużo dobrego przez ten okres działo się na drogach powiatowych, również tych przebiegających przez Gminę Miejsce Piastowe.

Miesiąc po wyborach, 17 grudnia 2014 roku, wybrany został pełny skład Zarządu Powiatu, wówczas spośród 23 radnych Powiatu Krośnieńskiego 19 podpisało porozumienie o wspólnym działaniu na rzecz rozwoju powiatu. Z naszego okręgu wyborczego oprócz mnie porozumienie podpisali radni Teresa Sirko i Marek Aftanas. Sygnatariusze tego porozumienia zadeklarowali, że będą zgodnie pracować na rzecz rozwoju powiatu i dla dobra jego mieszkańców. Taka deklaracja na przestrzeni istnienia powiatu krośnieńskiego funkcjonuje po raz pierwszy. W moim odczuciu przynosi wymierne korzyści przede wszystkim w podejmowaniu ważnych i trudnych decyzji, szczególnie inwestycyjnych.

Na początku 2015 roku wraz ze starostą odwiedziliście wszystkie gminy powiatu, aby wspólnie z wójtami i burmistrzami zastanowić się, które drogi wymagają najpilniejszych remontów. Jakie są tego efekty?

Podczas tych spotkań powstała swoista mapa najpilniejszych zadań drogowych, których od dawna oczekują mieszkańcy, a gminy do ich realizacji deklarują pomoc finansową.

Efektom tego jest zrealizowanie w 2015 roku kilkunastu różnych inwestycji na terenie powiatu, z czego trzy

z nich w naszej gminie. Udało się położyć nową nawierzchnię na drodze powiatowej w Targowiskach, od stacji PKP do Dębiny, a także wybudować chodnik w Widaczu i przy Szkole Podstawowej w Głowience. Pozyskaliśmy także środki z programu usuwania skutków klęsk żywiołowych na drogę Niżna Łąka – Chorkówka. Mieszkańcy Niżnej Łąki i Machnówki długo czekali na remont tej drogi. Gmina Miejsce Piastowe pomogła tutaj finansowo, za co radnym i wójtowi serdecznie dziękuję.

Na terenie naszej gminy nową nawierzchnię i chodnik zyskały także drogi w Głowience i Wrocance. Zadanie to było zgłoszone do rządowego programu tzw. „schetyńówek” jeszcze przez poprzedni Zarząd Powiatu. Realizację tej inwestycji Gmina Miejsce Piastowe także wsparła finansowo, kwotą ponad 70 tys. zł.

W roku 2015 Powiat Krośnieński na inwestycje związane z przebudową dróg wydał ponad 11,5 mln. zł. Zrealizowanie kilkunastu inwestycji przy pomocy finansowej gmin oraz konstruktywne rozmowy i deklaracje co do dalszej współpracy pozwoliły na zaplanowanie kolejnych zadań drogowych, w których znaczący udział finansowy mają gminy.

Zadania związane z przebudową dróg, które my proponujemy, nakierowane są na maksymalne wykorzystanie środków pomocowych w danym programie oraz na przygotowanie takiego zadania, aby w jego realizacji uczestniczyło kilka samorządów. Zasada ta wprowadzona została już do pierwszych wniosków, które złożyliśmy do Programu Rozwoju Gminnej i Powiatowej Infrastruktury Drogowej na lata 2016 – 2019 z realizacją w 2016 roku. Jedną z tych planowanych inwestycji był – wyczekiwany od 2009 roku przez mieszkańców – remont drogi w Rogach. I chociaż nie udało się nam uzyskać pełnego dofinansowania, dzięki zgodzie w Radzie Powiatu, droga ta została wyremontowana. Za co również radnym powiatowym dziękuję.



Muszę przyznać, że rok 2016 należy do bardzo udanych pod względem inwestycji drogowych realizowanych przez powiat na terenie naszej gminy.

Co więc, oprócz wspomnianej drogi w Rogach, udało się zrobić?

Nowej nawierzchni doczekały się: ul. Długa we Wrocance w kierunku Równego oraz ul. Anzelma Kubita w Głowience. Środki na wyremontowanie tych dróg pozyskaliśmy z programu na usuwanie skutków klęsk żywiołowych. Z tego programu w tym roku wykonaliśmy na terenie powiatu aż cztery zadania drogowe. Tyle jeszcze w jednym roku Powiat nie realizował.

Powiat Krośnieński zamyka ten rok inwestycjami związanymi z przebudową dróg i mostów na poziomie 16,5 miliona zł. Przebudowaliśmy ponad 34 km dróg, co stanowi prawie 10% ogólnej sieci dróg powiatowych, wybudowaliśmy 3 mosty i ponad 5700 m.b. chodników.

Przyszły rok także zapowiada się rekordowo pod względem wielkości inwestycji drogowo-mostowych. W budżecie zabezpieczone mamy na ten cel prawie 30 milionów zł i po raz pierwszy więcej środków wydamy na drogi niż na oświatę. Tak dużych pieniędzy na inwestycje do tej pory w budżetach Powiatu Krośnieńskiego nie było.

A co z tego będzie zrobione w Gminie Miejsce Piastowe?

Z ogromną satysfakcją przyjąłem ukazanie się wstępnej listy rankingowej zadań



Mieszkańcy Rogów doczekali się remontu drogi

z Programu Przebudowy Dróg Gminnych i Powiatowych na lata 2016 – 2019, na której to dwie inwestycje powiatowe zajmują pierwsze i drugie miejsce w województwie.

Mieszkańcy Iwonicza doczekają się nowej nawierzchni i chodnika na drodze do Iwonicza Zdroju (ul. Długa, ul. Zdrojowa i ul. Słoneczna) oraz 900 m.b. w kierunku Rogów na „Mołdawę”. Koszt zadania to 5 800 000 zł, przy czym Gmina Iwonicz Zdrój udziela pomocy finansowej w kwocie 1 500 000 zł.

Zadanie drugie realizowane będzie właśnie na terenie Gminy Miejsce Piastowe i Gminy Rymanów. Za 6 200 000 zł przebudowana zostanie droga od Targowisk przez Widacz do Wróblika Szlacheckiego i Królewskiego w kierunku Ładzina. Zostaną wybudowane chodniki, przebudowane dwa mosty oraz skrzyżowanie dróg. Obie gminy pomagają kwotą ponad 2 miliony zł (z czego 1,25 miliona zł przekazuje Gmina Miejsce Piastowe). Pierwotnie planowane było zgłoszenie przebudowy całego odcinka drogi od Dębiny w Targowiskach przez Widacz i Wróblik do drogi wojewódzkiej. Jednakże wartość kosztorysowa tego zadania (13 milionów zł) wymusiła podział tej inwestycji.

Pomimo tego że wiele udało się zrobić, to ciągle są nowe oczekiwania. Niektórzy mieszkańcy Miejsca Piastowego liczą na przebudowę ul. Dworskiej w Miejscu Piastowym.

Myszę o tym. Rozwój i powstanie nowych podmiotów gospodarczych, szczególnie na terenach dawnego Igłopolu, związany jest ze wzmożonym ruchem pojazdów – zwiększa się ich ilość, jak i tonaż. Nowa nawierzchnia, chodnik, a przede wszystkim budowa nowego mostu pozwoliłyby na rozwój tego terenu, ale i poprawę bezpieczeństwa wszystkich użytkowników tej drogi.

Mamy opracowaną także dokumentację na przebudowę drogi Krosno – Głowienka – Iwonicz od Wrocanki do granicy z Iwoniczem (ul. Pańska we Wrocance, ul. Polna i ul. Henryka Domino wraz z remontem mostu w Rogach).

Inwestycje, które wymieniłem, dotyczyły tylko Gminy Miejsce Piastowe, bo na jej potrzebach głównie się skupiłem. Pamiętać jednak trzeba, że w powiecie jest 10 gmin i każda ma oczekiwania, które w głównej mierze dotyczą poprawy stanu dróg.

Dziękuję wójtowi i radnym Gminy Miejsce Piastowe za udzielaną pomoc finansową, pozwalającą na zrealizowanie wspólnych inwestycji, które będą służyły mieszkańcom.

Z okazji zbliżających się świąt pragnę złożyć wszystkim mieszkańcom Gminy Miejsce Piastowe życzenia przeżywania Bożego Narodzenia w zdrowiu, radości i ciepłej rodzinnej atmosferze. Niech magiczna noc Wigilijnego Wieczoru przyniesie spokój i radość, a Nowy Rok obdaruje pomyślnością i szczęściem.

Rozmawiał Bartek Bieszczad

Ważne przypomnienie!

Wód opadowych i drenażowych nie wolno odprowadzać do kanalizacji!



Zgodnie z prawem, zachowania takie są nielegalne i podlegają karze grzywny do 10 000 zł (dziesięciu tysięcy złotych), a nawet ograniczenia wolności (art. 28 ust. 4a ustawy o zbiorowym zaopatrzeniu w wodę i zbiorowym odprowadzaniu ścieków z 7 czerwca 2001 r.).

Nie to jest jednak najważniejsze. Za wody odprowadzone nielegalnie do kanalizacji płacimy wszyscy (ich oczyszczenie jest później kalkulowane w stawce za m³ ścieków). Ponadto w okresie długotrwałych lub intensywnych opadów, gdy do sieci nagle dostaje się sporo wód opadowych, w niektórych miejscach może dochodzić do wylewania się nieczystości z kolektorów i powodowania poważnych szkód w środowisku, jak i w nieruchomościach właścicieli.

W związku z tym w 2017 roku zostaną przeprowadzone kontrole sposobów zagospodarowania wód opadowych na terenie całej gminy.

Warto być *fair* wobec sąsiadów! Sprawdź, gdzie idzie woda z twojej rynny!

Gmina Miejsce Piastowe

Medale za wspólne 50 lat

22 pary małżeńskie (20 listopada 2016 r.) w Domu Ludowym we Wrocance świętowały złote gody. Były kwiaty, życzenia, drobne prezenty dla jubilatów i zabawa taneczna.



– 50 wspólnie przeżytych lat to nie lada wyczyn – składając jubilatom gratulacje, powiedział przewodniczący Rady Gminy Wiktor Skwara. – *I nie wystarczy tylko dożyć tego pięknego wieku. Potrzebne jest również wiele wyrzeczeń, wysiłku, zrozumienia, wiele wzajemnego szacunku, a przede wszystkim miłości, tej podstawowej rzeczy, która w małżeństwie dwoje ludzi powinna łączyć. Chciałbym wam również życzyć, abyście w kolejnych latach mogli się cieszyć z waszych dokonania, z tego, co udało się wam przez te pięćdziesiąt lat osiągnąć oraz waszymi rodzinami, dziećmi, wnukami, a być może już prawnukami, aby to było źródłem waszego szczęścia i satysfakcji. Noblista pokojowy, niemiecki teolog Albert Schweitzer powiedział, że szczęście to jedyna rzecz, która się mnoży, gdy się ją dzieli. Życzę wam, aby to szczęście, które będziecie przez dalsze lata dzielić, mnożyło się i było udziałem waszych rodzin, abyście byli dla nich natchnieniem i inspiracją.*

– Medale za długoletnie pożycie małżeńskie są medalami szczególnymi – podkreślił wójt gminy Marek Klara. – *Generalnie odznaczenia państwowe przyznaje się za czyny heroiczne, za ciężką pracę. I zawsze pojawia się pytanie: czy takim czynem heroicznym jest małżeństwo? Państwo polskie uznało, że tak. To, że państwo są ze sobą 50*

lat razem i nierozłącznie, jest nie tylko państwa olbrzymim sukcesem, ale i powodem do dumy dla naszej Ojczyzny. Wójt zwrócił także uwagę na to, że pojawia się wiele inicjatyw, które wychodzą naprzeciw osobom starszym i jednocześnie zapraszał do uczestnictwa w Senior-Wigor.

Nadane przez prezydenta RP „Medale za długoletnie pożycie małżeńskie” jubilatów wręczał wójt Marek Klara w towarzystwie przewodniczącego Rady Gminy Wiktora Skwary, dyrektora - etatowego

członka Zarządu Powiatu Krośnieńskiego Aleksandra Mercika, sekretarza gminy Krzysztofa Mercika, radnego Ryszarda Lenika oraz radnej powiatowej i sołtys Głownienki Teresy Sirko.

Program artystyczny zaprezentowali uczniowie Szkoły Podstawowej we Wrocance, zaśpiewały także Wrocanianki, a do tańca przygrywała kapela Piasty. Obiad dla gości przygotowały panie z Koła Gospodyń Wiejskich we Wrocance.

tekst i fot. IP

Złoci Jubilaci:

- **z Głownienki:** Wanda i Kazimierz Hejnarowie, Anna i Franciszek Kubitowie;
- **z Łęczan:** Maria i Ryszard Gaździkowie, Danuta i Jan Mazurowie, Maria i Tadeusz Skwarowie;
- **z Miejsca Piastowego:** Stanisława i Mieczysław Frydrychowcie, Wanda i Ludwik Gosztyłowie, Maria i Mieczysław Kilarowie, Maria i Stanisław Rajsowie, Janina i Władysław Rajsowie;
- **z Rogów:** Elżbieta i Edward Jurczakowie, Maria i Wiesław Knapowie, Zofia i Władysław Wdowiarzowie;
- **z Targowisk:** Sabina i Daniel Boczarowie, Monika i Henryk Boroniowie, Ewa i Tadeusz Józefczykowie, Zofia i Edward Ryglowie, Władysława i Czesław Siuciakowie, Krystyna i Stanisław Skwarowie;
- **z Wrocanki:** Maria i Zygmunt Fornalowie, Władysława i Jan Gosztyłowie, Maria i Adam Machnikowie, Maria i Jan Siudakowie;
- **z Widacza:** Danuta i Władysław Pelczarowie, Bogumiła i Jerzy Sieniawscy;
- **z Zalesia:** Zofia i Leszek Wanicowie.

ZŁOCI



Ewa i Tadeusz Józefczykowie



Maria i Mieczysław Kilarowie



Stanisława i Mieczysław Frydrychowice



Maria i Jan Siudakowie



Bogumiła i Jerzy Sieniawscy



Monika i Henryk Boroniowie



Maria i Tadeusz Skwarowie



Elżbieta i Edward Jurczakowie



Zofia i Władysław Wdowiarzowie



Zofia i Leszek Wanicowie



Wanda i Kazimierz Hejnarowie



Maria i Zygmunt Fornalowie

JUBILACI



Anna i Franciszek Kubitowie



Wanda i Ludwik Gosztyłowie



Sabina i Daniel Boczarowie



Władysława i Czesław Siuciakowie



Janina i Władysław Rajsowie



Maria i Adam Machnikowie



Władysława i Jan Gosztyłowie



Maria i Wiesław Knapowie



Zofia i Edward Ryglowie



Maria i Stanisław Rajsowie



Występy artystyczne w GOK



KLEKS IV z RCKP w Krośnie – nagroda główna

16 listopada 2016 r. w Gminnym Ośrodku Kultury w Miejscu Piastowym odbył się XXIV Przegląd Amatorskich Zespołów Artystycznych MINI-ART.

Przeгляд od lat daje możliwość pokazania się zespołom muzycznym, teatralnym i tanecznym. W tym roku największa konkurencja była w kategorii grup tanecznych, ale niestety zabrakło jej wśród zespołów muzycznych.

Występy artystyczne oceniało jury w składzie: przewodniczący jury Janusz Węgrzyn - dyrektor GOK, Małgorzata Machnik - instruktorka zespołu tanecznego Pogórzanie oraz Andrzej Trusz - instruktor zespołów śpiewaczych.

Wśród zespołów muzycznych nagrodę główną otrzymał zespół SONG z Publicznego Gimnazjum w Krościenku Wyżnem.

Nagrodę główną dostał także - jak zawsze znakomity - Szkolny Teatr Lalki i Aktora z Zespołu Szkół w Turzym Polu za przedstawienie „O żeglarzach Dżambłach opowieść nowa”, wyróżniono natomiast grupę teatralną z Publicznego Gimnazjum w Krościenku Wyżnem, która wystąpiła ze spektaklem „Szekspir na wesoło”.

Zasłużenie nagrodą główną przypadła - bezkonkurencyjnemu w kategorii od 7 do 14 lat - zespołowi KLEKS (grupa IV) z krośnieńskiego RCKP. W tej kategorii przyznano także wyróżnienia: dla zespołu Mażoretki Sunshine Junior z GOK w Besku i dla grupy Mini Impuls z GOK w Sanoku. W kategorii powyżej 14 lat najwyżej oceniono występ taneczny zespołu Impuls z GOK w Sanoku.

Przyznawane od dwóch lat wyróżnienie dla najlepszego zespołu z terenu Gminy Miejsce Piastowe w tym roku otrzymała grupa dziewcząt Wrocaderki ze Szkoły Podstawowej we Wrocance.

Podsumowując tegoroczny przegląd, dyrektor GOK Janusz Węgrzyn podziękował uczestnikom za udział, a instruktorom i nauczycielom za pracę z młodymi artystami. – *Wasze zaangażowanie w kształtowanie wspaniałych postaw tak wielu młodych ludzi daje piękne efekty w postaci prezentowanych tutaj, na tej scenie, spektakli teatralnych, układów tanecznych czy też wirtuozerii muzycznych. Dziękuję wam za to z całego serca i za niejednokrotnie poświęcanie swojego wolnego czasu. Jestem przekonany, że nadal będziecie się starać, by w kolejnych edycjach naszego przeglądu prezentować wasze osiągnięcia artystyczne.*

Miłym, a zarazem niespodziewanym akcentem było przekazanie na ręce dyrektora przez instruktora grupy teatralnej z Turzego Pola Waldemara Kośmidera okolicznościowej statuetki przygotowanej z okazji 20-lecia nadania szkole w Turzym Polu imienia prof. Waleriana Pańko. – *Jest ku temu też szczególna okazja, bo jesteśmy u was po raz piętnasty, a to jest najlepszy dowód na to, że lubimy tutaj przyjeżdżać i mam nadzieję, że w kolejnych edycjach tego przeglądu nadal będziemy brać udział* – powiedział Waldemar Kośmider, dziękując za przychylność, miłą i serdeczną atmosferę podczas przeglądów.

tekst i fot. IP



IMPULS z GOK w Sanoku – nagroda główna



Szkolny Teatr Lalki i Aktora z Zespołu Szkół w Turzym Polu – nagroda główna



WROCADERKI – nagroda dla najlepszego zespołu z Gminy Miejsce Piastowe



Zespół SONG z Publicznego Gimnazjum w Krościenku Wyżnem – nagroda główna

I Festiwal Tożsamości i Kultury Wsi Odnowionej odbył się 27 sierpnia 2016 r. w malowniczo położonej i bardzo pięknej miejscowości w gminie Gogolin – Kamieniu Śląskim. Organizatorem tego przedsięwzięcia był przewodniczący zarządu Stowarzyszenia Polskiej Sieci Odnowy i Rozwoju Wsi, i jednocześnie burmistrz Gogolina, Joachim Wojtala, który zaprosił nasz zespół do udziału w tym wydarzeniu.

Pogórzanie w Kamieniu Śląskim



Stowarzyszenie PSORW zostało powołane do życia w 2013 roku w Strumieniu, w województwie śląskim, a pomysł utworzenia Sieci zrodził się w październiku 2012 r. w Prószkowie (woj. opolskie) podczas obchodów 15-lecia Odnowy Wsi w Polsce. Wówczas zawiązała się grupa inicjatywna (złożona z gmin: Czarna Dąbrówka, Dzierżonów, Gogolin, Gniewino, Popielów i Strumień), która podjęła decyzję o organizacji spotkania założycielskiego. Obecnie Sieć tworzy 46 gmin z terenu całej Polski, w tym 4 gminy z województwa podkarpackiego: Dydnia, Lubaczów, Niwiska oraz Gmina Miejsce Piastowe.

Mieliśmy do pokonania ponad 350 kilometrów i by dojechać na czas do Kamienia Śląskiego, z Głowienki wyruszyliśmy o godzinie 6.00 rano. Na podróż zaplanowaliśmy 5 godzin. Dotarcie do Tarnowa zajęło nam dwie godziny, ale potem było już tylko lepiej. Autostrada dochodzi do samego Gogolina, więc pokonanie 250 km zajęło nam niepełne 3 godziny. Bramki tego dnia były wyjątkowo puste, część z nich przejechaliśmy bez zatrzymywania, system viaTOLL – działa.

Po dotarciu na miejsce zostaliśmy powitani przez bardzo sympatyczną Patrycję, naszą opiekunkę, pracownicę Urzędu Miasta w Gogolinie. Na początek jakaś przekąska, trochę napojów i dla zespołu worek całkiem smacznych „putinówek”. Choreografka Małgosia, jak to zwykle bywa podczas wyjazdów koncertowych, dyscyplinowała zespół i poganiała do szybkiego „wskoczenia” w kostiumy. Jak się niedługo okazało, niepotrzebnie, bo realizacja programu koncertu organizatorom nieco się opóźniła. Kostium do suity lubelskiej, a tym właśnie tańcem rozpoczynaliśmy koncert, jest raczej ciepły, a pogoda w Kamieniu tego dnia była niemalże taka sama, jak podczas dożynek gminnych. Ci, którzy w nich uczestniczyli, wiedzą o czym mowa. Nieco zmęczeni upałem, na scenę, a prawdę mówiąc na podłogę, bo na scenie przygotowanej przez organizatora festiwalu mieściła się tylko kapela, weszliśmy jako trzeci zespół. Program wykonany przez Pogórzan, tj. wspomniana suita lubelska i sztandarowy taniec zespołu – suita krośnieńska, okazał się prawdziwym hitem festiwalu. Plac festiwalowy, do tej

pory raczej pustawy, w trakcie koncertu powoli się zapełnił, chociaż frekwencja w porównaniu z naszymi imprezami plenerowymi była, delikatnie mówiąc, skromna. Może to z przyczyny upału? Prawdę mówiąc, w Kamieniu tego dnia zespół był niewątpliwie gwiazdą. Wspomniałem uczucie! Ale to już zasługa członków zespołu, którzy dali z siebie wszystko i wszystko im wyszło. Swój udział w udanym koncercie ma także choreografka – do końcowego ukłonu zawsze spięta, zdenerwowana, rejestrująca na swoim twardym mózgowym dysku każdy najmniejszy błąd zespołu. Emocje opadają dopiero w szatni i wtedy pojawia się uśmiech na jej twarzy. Było niezłe, skoro burmistrz Gogolina chce nas zaprosić za rok, na swój koszt, na parę dni w zamian za kilka koncertów w poszczególnych miejscowościach tej malowniczej gminy.

Szkoda tylko, że nie było czasu, by trochę pozwiedzać gminę, ale może będzie jeszcze okazja. 350 kilometrów drogi powrotnej do Głowienki minęło jakby szybciej. Wieloletni kierowca, Stanisław Szajna, na „rynku” w Głowience lapidarnie podsumował: – *Do chatupy to zawsze przyndzy*. I dobrze, bo kolejny dzień zapowiadał się jeszcze bardziej na roboczo. Tylko solistka kapeli, Iza, stwierdziła: – *Jutro to chyba do roboty nie przyjdę*. Przyszła i jak zwykle znakomicie poprowadziła imprezę dożynekową w Widaczu. I to nic, że na 48 godzin w pracy trzeba było być 30. Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo, a życie artysty nie tylko różami jest usłane.

Wielkie dzięki wszystkim za udany wyjazd i koncert, szczególnie studentkom za przyjazdy na próby, by później godnie siebie i nas reprezentować.

Podczas festiwalu wystąpili także: Miejska Młodzieżowa Orkiestra Dęta z Gogolina, Biskupiński Zespół Folklorystyczny z Domachowa i Okolic, Zespół Folklorystyczny ECHO z Kamienia Śląskiego, Zespół Regionalny ze Strumienia.

Tekst i fot. Janusz Węgrzyn

O Rogowskich mikołajach

Jeden miał czapkę biskupią, drugi dobrze postrzępioną brodę, a jeszcze inny był dobrze wyrośnięty, i jak każę tradycja, zrobiony z ciasta drożdżowego. Ale idealnego mikołaja tradycyjnego trudno było wybrać.

Jak co roku dzieci ze Szkoły Podstawowej w Rogach upiekły kilkadziesiąt mikołajów na konkurs organizowany od 12 lat przez Stowarzyszenie Miłośników Wsi Rogi, Gminny Ośrodek Kultury i szkołę. Jury miało za zadanie wybrać najładniejsze mikołaje w 3 kategoriach: mikołaj tradycyjny, mikołaj współczesny i mikołaj – dziecięce fantazje. Zadanie okazało się szczególnie trudne, ponieważ był problem z odnalezieniem mikołajów tradycyjnych. Kłopoty jurorów odzwierciedlają zamieszczone poniżej wypowiedzi.

Janina Gołąbek, przewodnicząca jury: – *Tradycyjny mikołaj ma być upieczony według wzoru, który zawsze obowiązywał w Rogach. Mikołaj ma mieć czapkę biskupią i postrzępioną brodę. Oczy, nos, guziki zrobione powinny być z ciasta. Ubrany w kozuch i spodnie. Ale ten nie ma berła. Nie dostanie pierwszego miejsca. Ten z kolei – wypasiony – ma berło, ale ma rodzynki. A ten ma worek na plecach, ale nie ma berła. Mikołaj zawsze musiał mieć berło...*

Stanisław Muszyński: – *Jakie berło? Lagę miał.*

Janina Gołąbek: – *Dawniej mówiło się, że idzie się z berłem. Spytaj się jakiejś babci.*

Bogusława Niziołek: – *Pastorał zwany berłem. Tak trzeba napisać.*

Janina Gołąbek: – *Ten jest idealny, ale jest z ciasta pierogowego, a tradycyjny mikołaj musi być z ciasta drożdżowego.*

Bogusława Niziołek: – *A ten ma mak, ale ma czapkę krasnala. Mak mógł być, bo mak w domach był, bułki nim posypywali...*

Janina Gołąbek: – *Tego bym wzięła, pomimo rodzynek, jest idealny. Wyrósł ładnie...*

Małgorzata Borowska: – *Ale brody nie ma postrzępionej....*

Janina Gołąbek: – *Ma, tylko trochę nie urosła. A może ten? Ma worek, berło trochę schowane, ma wąsy ogromne. O, to nie są wąsy, to są ręce. Ma spodnie z guzikami, a czapka biskupia – trochę nie urosła. Nie ma idealnych, ale ten najbardziej odpowiada wizerunkowi tradycyjnego mikołaja. W tej kategorii powinniśmy się trzymać tego, co*

było dawno. Musimy być wymagający. Nie można było do pieczenia takiego mikołaja używać żadnych egzotycznych przypraw jako dodatków, ozdób.

Komisja zwracała więc uwagę na wykończenie. Mikołaj tradycyjny nie może mieć sezamu ani rodzynek. Czasem posmarowany mógł być białkiem, oczy miał także z ciasta, czasem wsadzone były tam ziarenka pieprzu.

Mniej problematyczny okazał się wybór mikołajów w kategoriach: mikołaj współczesny i mikołaj – dziecięce fantazje.

Janina Gołąbek: – *Mikołaj współczesny może być na modę tradycyjną, ale może mieć już współczesne dodatki. A w kategorii mikołaj – dziecięce fantazje to mikołaje najbardziej „sfantazjowane”. Tutaj mogą być takie odloty. O, jak ten z karetą i reniferami, zrobiony z piernika.*

Małgorzata Borowska: – *A ten jest taki śmieszny, w okularach.*

Stanisław Muszyński: – *Nie wybieramy samych głów, bo mikołaj powinien być cały, a nie tylko sama głowa.*

Wybrano też mikołaja roku. Janina Gołąbek powiedziała o nim: – *Dieta, ogólnie panująca moda na szczupłą sylwetkę, zaprzepaściła wygląd mikołaja. Mikołaj roku nie jest już tak „wypasiony”, czyli tłusty, jak mikołaj tradycyjny.*

Jak zatem wygrać – w przyszłości – konkurs na mikołaja tradycyjnego? Aby poznać dokładny opis mikołaja „po rogowsku”, trzeba zajrzeć do książki autorstwa Janiny Gołąbek „Dobra gospodyni cuda w domu czyni”. Znajdziemy tam dokładny przepis.

„Z wyrośniętego ciasta (takiego jak na bułkę, tylko trochę trwalszego) zrobić dość grupy wałek. Położyć go na patelni i rozkroić u dołu mikołajowe nogi. U góry uformować głowę i infułę biskupią. Zrobić oczy z pieprzu, z ciasta nos, brodę i wąsy. Skórka suszonego, czerwonego jabłka może się przydać na usta. Potem dodać mikołajowi kozuch, ozdobiony wałkiem ciasta u dołu, a także guziki

z grochu. Dodać ręce schowane w rękawach kozucha. W jednej ręce mikołaj powinien mieć pastorał, a w drugiej worek z prezentami. Należy też z ciasta zrobić wysokie buty z cholewami na nogi. Cześćkaż aż troszkę wyrośnie, smarować jajkiem i posypać dla ozdoby makiem. Piec w piecu jak bułkę, tylko trochę krócej. Warto dodać, że każda gospodyni miała własny sposób wykonywania mikołajów i w każdym domu wyglądały one inaczej”.

Tekst i fot. IP

WYNIKI KONKURSU

MIKOŁAJ ROKU – Natalia Uliasz, kl. V
MIKOŁAJ TRADYCYJNY:

I miejsce – Szczepan Kowalski, kl. I,

II miejsce – Julita Uliasz, kl. III b,

III miejsce – Kacper Wójcik, kl. III a

MIKOŁAJ WSPÓŁCZESNY:

I miejsce – Michał Uliasz, 5-latki,

II miejsce – Mateusz Stanisław, 4-latki, Ewa Steliga, 4-latki

III miejsce – Rafał Łoś, kl. III b

MIKOŁAJ – DZIECIĘCE FANTAZJE:

I miejsce – Martyna Wołtosz

II miejsce – Klaudia Miśko, kl. IV, Patrycja Miśko, kl. I

III miejsce – Piotr Knap, kl. III, Zuzia Knap, 6-latki.

WYRÓŻNIENIA otrzymali: Oliwia Uliasz, Magdalena Lenik, Emilia Jasionowicz, Daniel Wołtosz, Jakub Dobosz, Wiktoria Rolewicz, Milena Uliasz, Julia Wyskiel, Wiktoria Uliasz, Grzegorz Uliasz, Natalia Wilk, Aleksandra Lenik, Julia Wilk, Klaudia Bołd, Szymon Szczurek, Jan Słyś, Wojciech Słyś, Filip Dembiczak, Jagoda Kochan, Katiana Chrzaszcz, Wiktoria Mikosz, Antonina Mikosz, Anna Pociask, Jagoda Mikosz, Wiktoria Miśko, Amelia Szczurek, Aleksandra Fejkiel, Maja Muszyńska i Karina Muszyńska, Hubert Uliasz, Wiktoria Kandefer, Bartosz Jurczak, Patrycja Zając i Mikołaj Uliasz.



Mikołaj Roku – Natalia Uliasz

Mikołaj tradycyjny, I miejsce,
Szczepan KowalskiMikołaj tradycyjny, II miejsce, Julia
UliaszMikołaj tradycyjny, III miejsce,
Kacper WójcikMikołaj współczesny, I miejsce,
Michał UliaszMikołaj współczesny, II miejsce (ex
aequo), Ewa SteligaMikołaj współczesny, II miejsce (ex
aequo), Mateusz StanisławMikołaj współczesny, III miejsce,
Rafał Łoś

Mikołaj – dziecięce fantazje, I miejsce, Martyna Wołosz

Mikołaj – dziecięce fantazje, II
miejsce, Klaudia MiśkoMikołaj – dziecięce fantazje, III
miejsce (ex aequo), Patrycja Miśko

Jury podczas oceny prac

Mikołaj – dziecięce fantazje, III
miejsce (ex aequo), Piotr KnapMikołaj – dziecięce fantazje, III
miejsce (ex aequo), Zuzia Knap

Tam kobiety wszystko przebaczą, jeśli tylko dostaną suknię, bo to znaczy, że mąż je kocha...

Na misjach w Kamerunie

O pracy misyjnej opowiada ks. Wiesław Marecki z Wrocanki



Ksiądz Wiesław Marecki wśród pielgrzymujących co roku do Nguemendouka

Ks. Wiesław Marecki z Wrocanki, który od 10 lat przebywa na misjach w Kamerunie, był gościem jednego z pierwszych spotkań pod nazwą „Porozmawiamy przy kawie” organizowanych z inicjatywy Stowarzyszenia „Nasza Wrocanka” oraz biblioteki we Wrocance. Uczestnicy spotkania z zapartym tchem słuchali opowieści księdza o pracy w tym dalekim afrykańskim kraju. Ksiądz Wiesław chętnie odpowiadał na pytania zgromadzonych.

Trochę nietypowo, bo na rozpoczęcie spotkania, prezeska stowarzyszenia Anna Sieniawska-Kuras przekazała księdzu cztery alby. Zostały one zakupione z pieniędzy uzyskanych ze zbiórki makulatury, którą zainicjował zespół charytatywny.

Proszę opowiedzieć nam, jak to jest gdzieś tam daleko, w tym innym świecie, którego my zupełnie nie znamy. Od dawna pracuje ksiądz w Kamerunie?

Wyjechałem w 2003 roku, najpierw byłem w Kamerunie sześć lat w parafii Betare-Oya na wschodzie Kamerunu, w diecezji Bertoua. Później pojechałem do Ekwadoru, tam niestety byłem nieca-

ły rok, bo klimat był dla mnie za ciężki, więc musiałem wracać. Powiedziałem sobie, że już nie jadę na misje, że mam dość, niech inni jadą. Ale zaraz pomyślałem, że owszem, w Ameryce Południowej jest ciężko, ale przecież mogę wrócić do Kamerunu. Jednak kiedy mnie ksiądz biskup zapytał, czy będę wracał, odpowiedziałem, że chciałbym popracować gdzieś w parafii w Polsce. Posłał mnie do Myczkowic. Byłem tam rok, trochę odpocząłem. Ciągle jednak myślałem, żeby wrócić do Kamerunu. Jednak jechać na misje nie jest tak prosto, mimo że potrzeby są wszędzie, trzeba mieć zaproszenie od kogoś. Powiem szczerze, ofiarowałem całą majątkę w tej intencji, żeby Pan Bóg dał mi znak. Modliłem się dużo, żeby ktoś przyjechał, zapytał i akurat tak się złożyło, że był pogrzeb taty księdza Mirka Dubiela, z którym sześć lat byłem na misjach. Pojechałem na ten pogrzeb, na którym był akurat jeden ksiądz z Kamerunu. Powiedziałem mu, że znów myślę o wyjeździe na misje, a on na to, że bym wracał, że ma dla mnie miejsce. Końcem maja bądź początkiem czerwca przyje-

chał ksiądz biskup i wtedy poprosiłem go o zgodę na wyjazd. Wyjechałem więc do Kamerunu po raz drugi. Tym razem do parafii Nguemendouka.

To dosyć egzotyczna dla nas nazwa...

Nguemele to założyciel tej osady, tej miejscowości, a Mendouka to imię jednej z jego żon, bo miał ich kilka. A z nazwą pierwszej miejscowości, w której byłem, związana jest pewna anegdota. Wcześniej była to kolonia niemiecka. Kiedy Niemcy przyjechali pierwszy raz, zapytali, jak się nazywa ta miejscowość. Ktoś nie zrozumiał i odpowiedział: „Betare oya”, tzn. „Szeź śpi”, więc zostało Betare-Oya.

To duże miejscowości czy raczej małe osady?

Nguemendouka to jest duża parafia, liczy kilka tysięcy osób, a jest jeszcze czterdzieści siedem wiosek, do których dojeżdżam. Są tam kaplice i trzeba o to wszystko, także o nie, dbać. Do wiosek jeżdżę dwa razy w tygodniu, we wtorki i w niedziele. Jest osiem sektorów i każdy z nich ma od pięciu do siedmiu miejscowości. Odwiedzam każdy sektor raz w miesiącu, z tym, że raz jadę do jednej miejscowości w sektorze,



a drugi raz do innej. Myślę, że trzy razy w roku jestem w każdej z nich. Oprócz tego są pogrzeby, zazwyczaj w sobotę, a jak są jakieś śluby lub inne uroczystości, to też mnie zapraszają.

Na jedną osobę to trochę dużo...

Na razie jestem tam sam z księży. Byliśmy przez trzy lata we dwóch, ale ksiądz, który pochodził z diecezji częstochowskiej, ksiądz Darek Chałupczyński, wyjechał we wrześniu na Kubę. W Nguemendouka są też siostry michalinki z Miejsca Piastowego, one dużo pomagają. Zajmują się głównie dziećmi i młodzieżą. W parafii działa około dwadzieścia pięć grup duszpasterskich – młodzieży, dzieci i dorosłych. Siostry mają ośrodek zdrowia, jest też szkoła katolicka. Uczęszcza do niej około 700 osób, mieści się tam przedszkole i oratorium, gdzie trzy razy w tygodniu dzieci przychodzą po szkole, mają posiłek, zajęcia z nauczycielami i trochę zabawy. Tak spędzają czas wolny. Jest jeszcze internat dla dziewcząt z uboższych rodzin. Mieszkają one na miejscu i chodzą do liceum. Udało nam się w tym roku utworzyć formację katechistów. Są to osoby, które w czasie, kiedy ksiądz nie może przyjechać, prowadzą modlitwy w niedzielę i nabożeństwa, katechezę z dziećmi oraz rozwiązują wszelkie problemy we wspólnocie. Od czasu do czasu spotykamy się z nimi, szkolimy ich oraz sprawdzamy, jak pracują.

Kościół w Nguemendouka to diecezjalne Sanktuarium Matki Boskiej i jest to parafia, w której kiedyś był proboszczem ksiądz biskup Ozga. Stworzył on Grotę Sanktuarium Matki Bożej, kapliczkę z figurą Matki Bożej Ubogich. Ksiądz biskup jest również inicjatorem

pielgrzymki, która już od 25 lat przychodzi do Nguemendouka ze wszystkich stron diecezji Abombank. Te pielgrzymki zmierzają co roku do naszej parafii na piechotę, czasem zdarza się, że idą nawet pięć dni. Niekiedy i my dołączamy do grup, jedziemy samochodem w ich stronę i później idziemy dwa czy trzy dni z naszą młodzieżą. Na miejsce przychodzi około 1000 osób.

Jest też druga pielgrzymka, którą dla dzieci organizują siostry, trwa około trzech dni. Podczas tej pielgrzymki odbywają się konferencje, spotkania, dla młodzieży jest spowiedź oraz wystawienie Najświętszego Sakramentu. Wieczorem idziemy na nabożeństwo różańcowe do Grotty. Jest też organizowany konkurs piosenki religijnej. Są tam osoby bardzo zdolne, które komponują muzykę, piszą słowa, a później te piosenki rozchodzą się w diecezji i wszyscy je śpiewają. Nawet teraz, w Roku Miłosierdzia, powstało kilka ładnych pieśni.

Bardzo przeżywałem tam Święta Wielkanocne, chyba nawet w Polsce tak ich nie przeżywałem. Najpierw była msza święta na miejscu, a później uroczystości w jednej z wiosek. Było wtedy też wesele mężczyzny, który żenił się już drugi raz, a miał około osiemdziesiątki. To był jego drugi ślub katolicki. Był też chrzest około 27 dzieci, więc uroczystość była ogromna i ludzie bardzo ją przeżywali.

Czy dłatego chciał ksiądz wrócić na misje, że tam wiara jest głębsza, bardziej z serca płynąca niż u nas?

Podoba mi się ta ich spontaniczna modlitwa. Na rekolekcjach na przykład nie ma problemu, kiedy poproszę o modlitwę

indywidualną we własnych intencjach. Albo żeby wstać podczas mszy i zacząć się modlić na głos. Na tym polega ich większa otwartość na wiarę. Natomiast my się wstydzimy troszkę takiej modlitwy. Inaczej się modlimy, przed mszą jest idealna cisza, wszyscy się modlą w skupieniu. Natomiast tam wyraża się to bardziej na zewnątrz, głównie przez śpiew. W czasie święta, przez to śpiewanie, msza trwa nieraz trzy godziny. Czasem starałem się tłumaczyć, że modlitwa nie zawsze polega na śpiewaniu, że najważniejsze są liturgia i Słowo Boże.

To jest interesujące, że angażują się w życie kościoła. Nie mamy organisty, więc na mszy św. śpiewają chóry. Na początku roku sporządza się grafik na cały rok. Wtedy zgłaszają się chętni z każdej z grup, żeby wybrać sobie datę i śpiewać na mszy św. Niektóre grupy śpiewają po kilka razy w ciągu roku. Są dwa chóry, które śpiewają głównie na uroczystościach i to już są profesjonalne chóry. Jeden z chórów ma solistkę, która także komponuje. Eksperci twierdzą, że to fantastyczny głos. Nie znam do końca ich języka i prosiłem, żeby mi przetłumaczyli tekst pieśni. Okazuje się, że są to piękne utwory.

Jak ksiądz porozumiewa się z parafianami?

Język francuski jest tam językiem obowiązkowym, większość starszych osób go zna, ale kazanie jest tłumaczone na język maka. W języku francuskim też należy odprawiać msze, ponieważ jest dużo osób, pełniących tam pewne funkcje, np. nauczyciele, którzy przyjechali z innych stron, i już nie znają języka maka. W Kamerunie jest około 250 dialektów.



Pielgrzymki zmierzające do Nguemendouka idą nawet 5 dni

Wspomniał ksiądz, że założyciel osady miał kilka żon. Czy w Kamerunie dozwolone jest wielożenstwo?

Tak, państwo nie zabrania poligamii. Od dawna były małżeństwa zwyczajowe. Członkowie rodziny dogadywali się w sprawie posagu, spotykali się ze sobą i było to uznawane za zawarcie małżeństwa. Tak jest do tej pory. Wiele małżeństw zostało tak zawartych. Do rzadkości należą małżeństwa zawarte w urzędach stanu cywilnego, gdzie spisuje się protokół i wyszczególnia, czy ma to być małżeństwo monogamiczne, czy poligamiczne. Natomiast jeśli chodzi o małżeństwa kościelne, to nie ma ich dużo, rzadko się je spotyka. W kościele pobierają się głównie młodzi. Przeszkodą jest to, że ludzie czują się słabi i obawiają się, że nie wytrwają w wierności. Mają lęk przed Panem Bogiem, boją się kary. Jest też problem pieniędzy - przyjęcie weselne dużo kosztuje. Kolejną rzeczą jest posag. Myślę, że jest to wina rodziców młodej, bo niektórzy życzą sobie bardzo wysokiego posagu. Chodzi głównie o zwierzęta, ponieważ tam przede wszystkim pracuje się na roli. Rodzice czasem nie zgadzają się na małżeństwo, ponieważ samym jest im ciężko. Z czego wynika ten posag? Rodzice tłumaczą, że im też się coś należy za to, że dali życie, wychowali córkę. Zupełnie inaczej niż u nas, gdzie rodzice pomagają swoim dzieciom. Są diecezje, w których ksiądz ustalił posag symboliczny i jakoś ludzie zaczęli się do tego dostosowywać. U nas jeszcze tego nie ma.

Życie w poligamicznych związkach na pewno rodzi problemy...

Powiem szczerze, że kobiety tam, w porównaniu do naszych kobiet, są bardziej wyrozumiałe. Pewnego razu, pamiętam, jeszcze w pierwszej parafii Betare-Oya, przysłała kobieta ze swoim mężem i mówi tak: „Proszę księdza, mój mąż mnie zdradza, nawet mi nie kupił spódnicy na Święta Wielkanocne”. Bo tam jest zwyczaj, że mąż kupuje swojej żonie, jako znak miłości, dwa, trzy razy w roku nową suknię. Tam kobiety wszystko przebaczą, jeśli tylko dostaną suknię, bo to znaczy, że mąż je kocha. Dla nich zdrada małżeńska to nie jest jakiś ogromny problem. Pewnie też ją przeżywają, ale znoszą ją, bo co mają zrobić, jeśli nie mają pieniędzy.

A jak w Kamerunie żyją rodziny? W biedzie czy raczej w dobrobycie?

Nie można mówić, że jest głód, bieda. W tym regionie, gdzie jestem, klimat nie jest taki zły, ponieważ padają deszcze. Jest oczywiście pora sucha, kiedy deszcz pada maksymalnie dwa razy, więc wtedy jest troszkę trudniej im żyć, ale tam zawsze coś rośnie. Na przykład maniok, którego liście, obok bulw, są jadalne, więc można przeżyć. Natomiast w porze deszczowej co się posadzi, to zazwyczaj rośnie. Oczywiście trzeba o uprawy dbać, opryskiwać. Czasem jakieś gryzonie zjedzą uprawę, tak jak i u nas. A to, co wyprodukują, mogą też sprzedać. Raz w tygodniu jedzie samochód, zabiera banany, które są bazą do posiłków, tak jak u nas ziemniaki. Mają z tego jakieś pieniądze. Poza tym uprawiają też kawę, choć jej cena nie jest tam zbyt duża. My też zbieraliśmy tam kawę. Co roku w Wielkim Poście jest tzw. action dicaren, jest to zbiórka pieniędzy na kościół. W tamtym roku z zebranych pieniędzy odremontowaliśmy trochę kościół, a w tym roku, ponieważ dostaliśmy nowy samochód, ale zabrakło trzy tysiące euro, więc ogłosiłem, że zbieranie kawy będzie na samochód. Połowę udało się zebrać. Wiadomo, że jest to ciężka praca, bo w takim upale nie jest łatwo, ale też nie mają wielkich ambicji, żeby pracować. Dlatego widać, że ci, co więcej pracują, to mają i ładniejsze domy, i telewizory. W związku z tym, że nie ma prądu, to mają agregaty prądotwórcze. Przemysłu tam praktycznie nie ma i myślę, że gdyby się rozwinął, to ich życie oraz sytuacja finansowa by się o wiele poprawiła.

A jak jest z dostępem do lekarzy?

Jest szpital na niezbyt wysokim poziomie, natomiast za wszystko trzeba płacić.

Leczą się raczej tak doraźnie i jeśli są jakieś operacje, to zazwyczaj jest to przepuklina lub jakieś narośla i cesarskie cięcia. Natomiast jeśli chodzi o jakieś poważniejsze operacje, to chorych wiozą do stolicy. Dużo osób leczy się ziołami, mimo że jest dostęp do leków, ale za leki trzeba płacić. Poza tym trzeba ustalić dawkę leku, co wiąże się z wizytą u lekarza. Dużo osób chodzi do miejscowych szamanów, zazwyczaj oni wmawiają ludziom choroby i to, że ktoś rzucił zły czar. Płacą szamanowi za uzdrowienie i myślą, że po kilku wizytach będą zdrowi, że czar zostanie z nich zdjęty. Czary się szerzą, bo jeden drugiego bardzo chce zniszczyć, zwłaszcza jak się nie lubią. Czarownicy rzucają zaklęcie i ludzie myślą, że z tego powodu chorują. Przychodzą do mnie z małymi, chorymi dziećmi, żebym je dotknął i uzdrowił, a ja pytam wtedy, czy dziecko jest ochrzczone. Zazwyczaj jest nieochrzczone, więc mówię, że trzeba je ochrzcić, a diabeł zostanie wypędzony. Każdy z nas w wyjątkowej sytuacji, np. jak dziecko jest chore, może je ochrzcić i często powtarzam to na spotkaniach z misjonarzami.

Czy dużo jest osób świeckich, które pomagają na misjach?

Niewiele. Byłem ostatnio na spotkaniu misjonarzy w Warszawie i na konferencji, gdzie świeccy się wypowiadali, że księża mają lepiej na misjach, ponieważ mają większe wsparcie ze strony kolegów i znajomych, tak samo jak siostry zakonne i zgromadzenia. Świeccy mają problemy materialne, więc przyjeżdżają na krótki czas, na kilka miesięcy. Pomagają czasem rok, dwa. Wyjątkiem jest pani Ewa z diecezji tarnowskiej, która już 25 lat bardzo pięknie tam pracuje. Była odpowiedzialna w ramach diecezji za koordynację wszystkich ośrodków zdrowia. Teraz stworzyła szkołę dla głuchoniemych. Są dzieci, które nie słyszą, nie potrafią czytać i ona gromadzi te dzieci ze wszystkich wiosek. Przy szkole jest internat i dzięki dofinansowaniu z zagranicy dzieci mogą się tam uczyć i rozwijać. Taka placówka ma przyszłość. Od czasu do czasu organizowane są też akcje, podczas których przyjeżdżają lekarze różnych specjalności. Starają się zaopiekować chorymi osobami i zadbać o ich zdrowie. Dentyści leczą zęby, okuliści badają wzrok i organizują zbiórki okularów.

Wystuchała i spisała Magdalena Penar

Udało mi się pozyskać materiały dotyczące historii Miejsca Piastowego, które nigdy wcześniej nie były wykorzystane przez innych badaczy.

Historia Miejsca ukryta w księgach sądowych

Rozmowa z Grzegorzem Wroną, autorem pracy doktorskiej „Miejsce Piastowe w XVI – XIX wieku”, powstałej na Uniwersytecie Rzeszowskim.

IZABELA PÓŁCHŁOPEK: Skąd pana zainteresowanie Miejscem Piastowym? Przecież nie ma pan bliskich związków z tą miejscowością, a mieszka w okolicach Kolbuszowej...

GRZEGORZ WRONA: Nie ukrywam, że inspiracja do podjęcia tematyki badawczej Miejsca Piastowego przyszła od mojego promotora prof. dra hab. Jerzego Motylewicza, który jest wybitnym znawcą i badaczem dziejów społeczności miejskich, przede wszystkim ziemi sanockiej i przemyskiej w czasach nowożytnych. Jakkolwiek w jego dotychczasowej pracy naukowej społeczności wiejskie pozostawały na marginesie prowadzonych badań, to jednak istotną rolę odegrała jego znajomość źródeł dotyczących tego terenu i wiedza, że w Archiwum Państwowym w Przemyśle zachowały się księgi sądowe dotyczące Miejsca Piastowego, do tej pory niewykorzystane w badaniach historycznych. I tak, pan profesor zaproponował, żebyśmy razem podjęli próbę stworzenia monografii tejże wsi, przede wszystkim z wyraźnym zaakcentowaniem historii społeczno-gospodarczej. Zgodziłem się i bardzo się z tego cieszę, bo jak się potem okazało, do dziejów tytułowej wsi zachowały się księgi sądowe, ale także szereg różnego rodzaju dokumentów przechowywanych nie tylko w polskich, ale przede wszystkim w archiwach i bibliotekach Lwowa. Są to głównie materiały rękopiśmienne odnoszące się do historii Miejsca Piastowego z okresu staropolskiego, choć znacznie więcej udało mi się pozyskać źródeł z czasów zaborowych, czyli po roku 1772.

Dlaczego zachowały się księgi sądowe dotyczące akurat Miejsca?

Ciężko mi odpowiedzieć na to pytanie, ale jak rozmawiałem o tym z wójtem Markiem Klarą, który jest lepszym spe-

cialistą od ksiąg sądowych ode mnie, doszliśmy do kilku wniosków. Generalnie nie każda wieś miała takie księgi, które pełniły rolę ksiąg wieczystych. W pierwszej połowie XIX wieku, kiedy przyszli Austriacy i wprowadzili państwowe rejestry, księgi te przestały być potrzebne. Nie dokonywano już w nich wpisów, stały się one dokumentem historycznym, dla niektórych nawet makulaturą i były niszczone. W Miejscu Piastowym bardzo długo trwało przekonanie o niebywałej wartości tych dokumentów, np. wspomniana księga z przemyskiego archiwum przechowywana była przez wójta Miejsca Piastowego jeszcze w latach 60. XX wieku. Trzymał ją w domu w skrzyni, a Przywilej Zygmunta III Wazy dla mieszkańców wsi Rogi, Miejsce i Lubatówki z 1602 r. przekazał szkole. Panowało przekonanie, że chociaż księgi te nie miały praktycznego znaczenia, należy je zachować.

Czy, przeglądając je, coś szczególnie pana w nich zaciekało?

W czasie studiów magisterskich nie miałem do czynienia z tego typu źródłami rękopiśmiennymi. Dlatego jestem bardzo wdzięczny panu wójtowi za udostępnienie mi egzemplarza swojej pracy magisterskiej, która pokazała mi, jak w przeróżny i bardzo szeroki sposób można spojrzeć na życie społeczności wiejskiej z perspektywy kart ksiąg sądowych.

Każdy, kto spojrzy w tego rodzaju materiały rękopiśmienne pochodzące z terenu Małopolski i Rusi Czerwonej, stwierdzi, że podobnie jak na przykładzie Miejsca Piastowego, są one w miarę jednolite pod względem treści. W zdecydowanej części dominują w nich protokoły transakcji handlowych zawieranych przed urzędem gromadzkim, dotyczące sprzedaży nieruchomości (ziemi, zagród, stodół, itd.). Niemniej jednak, raz na jakiś czas, co



kilkadziesiąt stron, pojawiają się bardzo ciekawe i rzadkie zapisy pod względem wartości poznawczej, jak np. rodzinne umowy spadkowe, inwentarze nieruchomości, dekrety dworskie czy zapisy testamentowe chłopów miejscyckich, które uczyniłem przedmiotem jednego z moich artykułów. W księgach tych, poza zwykłymi transakcjami handlowymi, odnaleźć można także zestawienia tabelaryczne dotyczące długów i świadczeń pańszczyźnianych, które mieszkańcy Miejsca Piastowego zobowiązani byli wykonywać na przestrzeni analizowanego okresu, czyli od XVI do XIX wieku. Pierwsze zapisy pochodzą z 1521 roku i możemy je wykorzystać w przeróżny sposób, choćby tworząc tabele związane ze zmieniającą się strukturą społeczno-majątkową mieszkańców wsi czy ukazujące skład personalny urzędu gromadzkiego (wójta, podwójciego, przysiężnych). Z treści kart sądowych możemy także poznać, jak zmieniały się nazwiska mieszkańców Miejsca Piastowego w omawianym okresie, bo siłą rzeczy ewoluowały one na przestrzeni wieków, na co istotny wpływ miały umiejętności piśmiennicze pisarzy. Rok 1900 jest datą końcową mojej pracy, ale jednak w kilku miejscach wyszedłem poza tę cezurę, wkraczając do roku 1914. I jak słusznie zauważyli recenzenci dysertacji, właściwszy tytuł dla niej byłby: „Dzieje Miejsca Piastowego do wybuchu pierwszej wojny światowej lub do roku 1914”.

Dotychczas żaden historyk Miejscem Piastowym się nie zajął. Wszystkie prace, które się ukazały, miały charakter popularno-naukowy, a przede wszystkim były pisane przez amato-



Strona tytułowa księgi sądowej z 1759 roku

rów, miłośników wsi. Teraz Miejsce Piastowe doczekało się profesjonalnej monografii. Praca zostanie wydana. Sprawia to panu radość?

Rzeczywiście, posiadamy niewiele prac naukowych dotyczących historii Miejsca Piastowego. Chciałbym jednak wspomnieć o niewielkiej książeczce ks. Zdzisława Kruczka, opisującej dzieje miejscckiej parafii do 1772 r., opartej na źródłach proveniencji kościelnej. Także pozycja autorstwa Henryka Borkowskiego, jakkolwiek nie została opatrzona aparatem naukowym, to jednak pozwala poznać różne aspekty życia mieszkańców Miejsca. Obaj wymienieni autorzy dysponowali ograniczonym zasobem źródeł historycznych, nie mając wglądu do tych materiałów, które w wyniku kilkuletniej kwerendy udało mi się odnaleźć, a mam tu na myśli przede wszystkim rękopisy z lwowskich archiwów. Dlatego też bardzo mnie cieszy zapowiedź opublikowania pracy w formie książkowej i mam nadzieję, że będzie to także wielka radość dla społeczności Miejsca Piastowego. Pasjonaci historii, miłośnicy, którzy chcą poznawać, jak żyło się w Miejscu Piastowym, jakie na przestrzeni wieków dokonywały się zmiany w kwestiach społecznych, gospodarczych, oświatowych, religijnych, dostaną do ręki książkę i na ile im czas pozwoli, będą mogli zaznajamiać się z jej treścią.

Jak długo pisał pan swoją pracę?

Zbieranie źródeł większego tempa nabrało na drugim roku studiów, kiedy pierwszy raz pojechałem do Lwowa, gdzie poszukiwałem źródeł do pisania pracy w Centralnym Państwowym Archiwum

Historycznym Ukrainy. Półtora roku zajęło mi zebranie najważniejszych materiałów. Z dzisiejszego punktu widzenia i ze swojego naukowego doświadczenia wiem, że jak są materiały i człowiek wie, jak do nich „podejść”, to myślę, że rok, półtora wystarczy, żeby napisać poważaną i ciekawą pozycję książkową, opartą na bogatym i różnorodnym zasobie źródeł, bo to świadczy o jej wartości i jej autorze. Tak to już po prostu w historii jest - źródła weryfikują wszystko. Niestety nie możemy nic napisać z głowy. W pierwszej kolejności zapoznajemy się z dostępną literaturą, następnie szukamy źródeł, a z tym szukaniem różnie bywa. Byłem zaskoczony w czasie swojej kwerendy archiwalnej tym, że udało mi się pozyskać materiały dotyczące historii Miejsca Piastowego, które nigdy wcześniej nie były wykorzystane przez innych badaczy, a nawet przez nich przeglądane. Mam tu na myśli chociażby rękopisy dotyczące funkcjonowania miejscckiej parafii w XIX wieku, a więc różnego rodzaju spisy, wykazy podatkowe, inwentarze majątku kościelnego, pokwitowania sygnowane przez proboszczów. Dokumenty te przez pomyłkę zostały przyporządkowane do Miejsca, wsi o tej samej nazwie, ale położonej w cyrkule wadowickim, a nie sanockim. Było to sześć bardzo ciekawych sygnatur, które wykorzystałem do napisania rozdziału o miejscckiej parafii i jej roli w życiu wsi, przedstawienia podstaw materialnych jej funkcjonowania, dochodów plebańskich. To było bardzo ciekawe odkrycie, gdyż przez przypadek zerknąłem do tych sygnatur.

Jakie wrażenie zrobiło na panu Miejsce, któremu przyglądał się pan na przestrzeni wielu lat?

Można powiedzieć, tak jak każda miejscowość, społeczność wiejska czy miejska, ewoluuje, dokonywane są w niej różne przeobrażenia: społeczne, gospodarcze, religijne, także natury demograficznej, bo wiadomo, że na przestrzeni wieków zmienia się liczba ludności. Bogactwo pozyskanych źródeł pozwoliło mi dokładnie przyjrzeć się wielu aspektom życia mieszkańców Miejsca, np. jak zmieniały się ich warunki mieszkalne, z jakimi problemami spotykali się w życiu codziennym, jak wyglądała ich sytuacja społeczna i gospodarcza w porównaniu z chłopami z sąsiednich wsi czy w kontekście całej ziemi sanockiej. Na tej podstawie stwierdzić mogę, że miejscyccy chłopcy byli w pełni

świadomi przysługujących im praw, z których w miarę możliwości korzystali. Przykładowo system feudalny, który znacznie ograniczał wolność osobistą i gospodarczą chłopów, nie powstrzymywał ich od osobistej interwencji w obronie należnych im praw, co potwierdza wspomniany dekret króla Zygmunta III Wazy. Także w okresie powłaszczeniowym potrafili walczyć ze stroną dworską, która ograniczyła im możliwość eksploatowania lasów na cele budownicze, opałowe itp. Wówczas kilkakrotnie podejmowali interwencje pisemne u samego cesarza Austrii Franciszka Józefa. Przedsięwzięcie budowy nowego kościoła, realizowane w II poł. XIX w., także wyzwoliło ich szeroką aktywność w pozyskiwaniu funduszy na ten cel. Dlatego też opisywanie Miejsca sprawiło mi naprawdę wielką radość. Jak się okazało, posiada bardzo bogatą, bujną i ciekawą historię.

Jakie plany na przyszłość?

Po obronie doktoratu wystartowałem w programie Narodowego Centrum Nauki dającego możliwość odbycia stażu podoktorskiego. Wszystko dobrze się potoczyło i przez trzy najbliższe lata będę odbywał staż na wydziale humanistycznym UMCS w Lublinie, w Zakładzie Historii XVI - XVII wieku, pod czujnym okiem prof. dra hab. Henryka Gmitera. Głęboko wierzę, że będzie to pierwsze poważniejsze zetknięcie się z działalnością naukową i dydaktyczną, a zdobyte tam doświadczenie zaowocuje w przyszłości.

Czym prywatnie się pan zajmuje? Podobno bardzo lubi pan piłkę nożną?

Tak, moim największym hobby jest piłka nożna, ale nie tylko granie, bo od 10 lat dosyć aktywnie, choć jednak amatorsko, zajmuję się sędziowaniem. Poświęciłem temu już 10 lat swojego życia. Zaczynałem, kiedy nie miałem jeszcze ukończonych 18 lat, najpierw w okręgu Stalowa Wola, potem przeniostałem się do podokręgu Rzeszów, gdzie działaliśmy w grupie szkoleniowej sędziów piłki nożnej w Kolbuszowej. Dzisiaj grupa ta nadal funkcjonuje, ale już w podokręgu Dębica. Sędziowanie jest dla mnie czasem relaksu i odpoczynku od pracy naukowej, możliwością spotkań w gronie kolegów, koleżanek w celach szkoleniowych i integracyjnych, popracowania nad kondycją fizyczną. Bardzo trudno byłoby mi zrezygnować z tego hobby, które daje mi wiele radości i satysfakcji.

Rozmawiała: Izabela Pótcłtopek

O tym, jak powstał pewien dom w Targowiskach,

czyli kilka uwag o rozwoju prawa budowlanego

W 1902 roku Florian Jurczak z Targowisk postanowił zbudować dom na działce przy targowiskim „Jeziorku”, blisko kościoła. Dom to ważna rzecz. Trzeba się więc było do jego budowy przygotować. Florian zamówił drewno – piękne drewniane bale czekały już na swój czas. Zgromadził też kamień na fundamenty. Położyć strzechę też nie można było z byle czego. Pozostała jeszcze jedna kwestia do załatwienia, a mianowicie pozwolenie na budowę. Florian postanowił sprawę przeprowadzić od ręki.

Na kawałku papieru zaczął rysować odręcznie wymarzony dom. Wyszedł niewprawnie, bez proporcji. Lepiej poszło z rzutem poziomym. Układ domu był typowy. W poprzek domu szła siena z drzwiami na przestrzał. Po lewej stronie, od frontu, była kuchnia. W kuchni paliło się w piecu, więc ściany i sufit szybko przestawały być białe. Kiedyś nazywano taką kuchnię czarną izbą. Z kuchni przechodziło się do drugiej izby, tzw. białej. W niej spali gospodarze. Tu trzymano najcenniejsze elementy dobytku, pieniądze. Dlatego też z tej izby nie było bezpośredniego wejścia z sieni. Po drugiej stronie domu była komora i stajnia. Zwierzęta gospodarskie żyły z właścicielami zagrody pod jednym dachem.

A dach był – zdaje się – czterospadowy. Nad wejściem był „facyjot”, którym wydawano na strych snopki zboża, słomę i siano. Nad dachem górował komin.

Po narysowaniu schematu Florian udał się do urzędu gromadzkiego, czyli do wójta – był 12 maja 1902 roku. Wójt



Dom, który 114 lat temu wybudował Florian Jurczak

z przysiężnymi i pisarz szybko załatwili sprawę. Po obejrzeniu projektu (jedna kartka formatu połowy A4) pisarz skreślił na kartce zdanie: *Ze strony Zwierzchności gminy zatwierdza się niniejszy plan*. Potem pisarz dał pismo do podpisu pozostałym przedstawicielom wiejskich władz. Swoje podpisy złożyli: wójt Paweł Frydrych, Jakub Frydrych i Jan Cisowski. Pisarz uroczyście odcisnął pieczęć gminy Targowiska w fioletowym tuszu i przyłożył ją do kartki. Sprawa została załatwiona. Florian mógł zacząć budowę domu.

Dom budowało się wówczas szybko. Już 9 miesięcy później przed wójtem znowu stał się Florian. Wójt z przysiężnymi obejrzeni dom i pisarz sporządził kolejne pismo, w którym informowano Floriana, że *budowa nowego domu wykonana została zgodnie w planie zatwierdzona i odpowiada wszelkim wymogom sanitarnym i warunkom bezpieczeństwa publicznego, przedto udziela się (...) pozwolenie zamieszkania tego domu*.

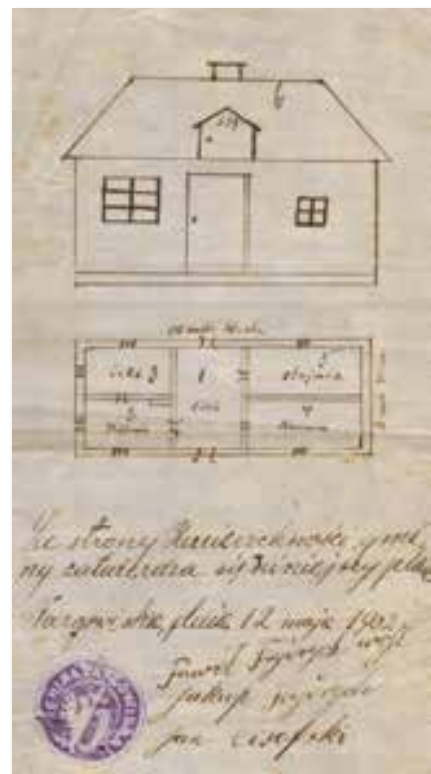
Urząd gminny nie składał się bynajmniej z jakichś specjalistów i urzędników. Byli to często słabo lub w ogóle niepiśmienni chłopcy, którzy wykonywali swoje obowiązki z woli sąsiadów. Zatrudniano tylko pisarza, który dokumentował ich działalność na papierze.

Sprawę załatwiono na dwóch kartkach niewielkiego formatu. Dom postawiono solidnie – stoi w Targowiskach do dziś, od 114 lat. I ma się dobrze!

A obecnie, żeby wybudować dom, trzeba stosu pism, projektów, pieczętek. Jak się budowę skończy, to dokumentacje, odbiory, uzgodnienia i cała reszta zajmuje kilka segregatorów. Ale czy dom przetrzyma stulecie?

Marek Klara

PS. Serdecznie dziękuję Halinie i Stanisławowi Jurczakom z Wiednia za udostępnienie materiałów.



W pożarze spłonęło prawie pół Miejsca

Dzisiaj tragedią jest, kiedy w czasie pożaru spali się część domu. A ponad 100 lat temu pożar potrafił pochłonąć nawet pół wsi, nierzadko z zapasami zboża na cały rok. O pożarze w Miejscu, który wybuchł w lecie w 1892 roku, i pomocy, jaką otrzymali pogorzelnicy, w krótkiej notce, sporządzonej przez ks. Bronisława Markiewicza, informuje krakowski dziennik informacyjno-polityczny „Czas”.

– **Miejsce 25 sierpnia.** Wczoraj o godz. ½ 2 po południu wybuchł pożar w gminie Miejsce w powiecie krośnieńskim, z przyczyny niewiadomej i w przeciągu jednej godziny objął 55 domów wiejskich i oficynę dworską, 12 stodół, 2 kuźnie i 16 sztuk bydła. Ponieważ prawie wszystkie domy były napełnione zbożem i paszą, ogień szalał straszliwy: pożerał nietylko budynki, ale i drzewa zielone, naokoło licznie rosnące. Że nie zniszczył kościoła, szkoły i reszty wsi, zawdzięczać mamy rychłej a skutecznej pomocy, jakiej nam łaskawie udzieliły dwory okoliczne, a szczególnie dwór z Krościenka, z Iwocznia, z Klimkówki, z Równego i z Chorkówki, stacya kolei w Iwoniczu i straże ogniowe z Krosna i z Korczyzna a wreszcie żadnarmerya z Krosna i z Iwonicza. P. starosta Pawlikowski z komisarzem p. Brodnickim, p. prezes Rady powiatowej Gorayski i O. gwardian Kapucynów krośnieńskich, kierowali sprawą ratunkową aż do późnej nocy. Z pomocą zaś materialną pośpieszyli natychmiast: X. proboszcz Jan Chilla ofiarował 10 złr., hr. Michał Załuski 50 złr., Rada powiatowa w Krośnie 200 zł, p. Jan Trzeciński 5 złr., gmina Krosno wóz chleba i kilkanaście kilo kaszy, hr. A. Męciński z Dukli 124 chlebów, X. proboszcz Podgórski 1 złr., X. Walenty Mazanek 1 złr., gmina Haczów 9 złr. 2 cent., 10 korcy



i 3 miarki zboża, 25 chlebów i białinę, X kanonik Jan Szalaj 100 kilo mąki, gmina Korczyzna 12 chlebów, gmina Dukla wóz chleba i 41 złr. Straż ogniowa Korczyńska czuwała nad spaleniskiem jeszcze dziś wieczorem.

X Bronisław Markiewicz,
pleban w Miejscu
„Czas” nr 198 z 30 sierpnia 1892 r.

Informację udostępnił na facebooku Tadeusz Łopatkiewicz. Ps. Grzegorz Wrona w pracy doktorskiej „Miejsce Piastowe w XVI - XIX wieku” podaje, że w 1867 roku ogólna liczba zabudowań w Miejscu wynosiła 126.



Wóz strażacki drewniany z ręczną pompą, drabiną i hydrantem z XIX wieku, fot. www.gratka.pl



O pożarze z 1892 roku pisze także w swojej kronice Józef Węgrzyn z Miejsca Piastowego.



Straszny pożar w Miejscu 24. sierpnia 1892 rok.

Na dole koło rzeki Iwonickiej pod nr 188 u Bębna Józefa w sam jarmark który był w Rogach na św. Bartłomieja wybuchł pożar tak też mówili, i opowiadali starsi ludzie że pracujący we dworze właściciel tego domu wylażąc oknem (...) przez nieostrożność zaproszył ogień z papierosa do słomy. A był straszny wiatr, który z szybkością oparował ¼ część wsi. I spłonęło około 57 budynków mieszkalnych i w tem prawie przy każdym budynku była stodoła, także ostatni dom był spalony Zygmunta Marcina nr. 154, przed Mikoszym Karolem nr 22, i koło dworu budynek zwany „oficyną” się zapaliły. Pożar był tak straszny, że ludność wracając z jarmarku z Rogów nie mogła gościńcem przejechać, ani przejść spowodu gorąca się palącej wsi, gdyż dawne ogrodzenia wieśniacze były chrustem plecione z wierzbów, tak to strasznie się paliło, a nawet i drzewa uległy spaleniu.

Pożar zniszczył ludności cały dobytek, tak były plony w domach, gdyż było już po żniwach, a ludność na zimę pozostała bez domu, żywności i nie było co na polu posiać, a zima w tym roku była strasznie mroźna i śnieżna. Mieszkańcy wsi musieli zebrać i długi czas pracować nim się odbudowali. Były to ciężki i smutne czasy dla mieszkańców Miejsca Piastowego.

z pamiętnika Jana Folcika, syna Pawła nr. 21, napisał Józef Węgrzyn

Ps. Zachowano oryginalną pisownię. Dziękujemy Markowi Guzikowi za udostępnienie kroniki

Zamieniłem Miasto Szkła na Miasto Miedzi

Mówi o sobie, że jest młody i nic wielkiego jeszcze nie osiągnął. I nie czas na wywiady. Nam jednak nie odmówił i Zagłębiu Lubin też. Z Kacprem Bieszczadem o jego przygodzie z piłką nożną i debiucie w młodzieżowej reprezentacji Polski rozmawia Magdalena Penar.

Od sierpnia trenujesz w Zagłębiu Lubin. Jak tam trafiłeś?

Przygodę z piłką nożną rozpocząłem w 2009 roku w wieku 7 lat, w szkółce piłkarskiej Beniaminek Krosno. Od samego początku występuję na pozycji bramkarza. W szkółce tej trenowałem pod okiem trenera Marcina Maculskiego, Roberta Glenia, a w starszych rocznikach pod okiem Grzegorza Rausa.

W 2012 roku rozpocząłem treningi bramkarskie u trenera Piotra Hajduka, z którym współpracowałem 4 lata i nadal utrzymuję kontakt. Trenerowi Hajdukowi, jak dotychczas, najczęściej zawdzięczam, gdyż wiele mnie nauczył. Wierzył i wierzy we mnie, zawsze traktował mnie jak swojego syna. On również był zwolennikiem pomysłu, bym zmienił klub i rozwijał się w bardziej renomowanej Akademii Piłkarskiej.

Z Beniaminkiem przeżyłem piękne chwile i czy w przyszłości będę zawodowo grał w piłkę, czy nie, tego czasu spędzonego w moim pierwszym klubie nikt mi nie zabierze. Turnieje i mecze rozgrywaliśmy w całej Polsce i z najlepszymi drużynami. Do tego jeszcze zdobyłem wiele statuetek i wyróżnień „Najlepszy bramkarz”.

Od 2013 roku trenowałem w Karpatach Krosno pod okiem Jana Eustachiewicza i grałem w lidze wojewódzkiej w swoim roczniku. Dobre występy w lidze i na turniejach przyniosły powołanie do kadry wojewódzkiej U-12. W 2015 roku dostałem powołanie do Letniej Akademii Młodych Orłów do Gniewina i tam poznałem najlepszych piłkarzy – rówieśników z całej Polski. W tym samym roku otrzymałem powołanie do kadry wojewódzkiej U-13 i z drużyną zdobyliśmy srebrny medal Mistrzostw Polski. W 2016 roku, już z kadrą wojewódzką U-14,

zdołaliśmy brązowy medal na tych samych mistrzostwach. Oba te sukcesy odnieśliśmy pod wodzą trenera Dariusza Liany, który był również moim wychowawcą i trenerem w pierwszej klasie gimnazjum Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Krośnie. Do niej uczęszczałem tylko rok, ale bardzo miło wspominam dyrektora, trenerów, grono pedagogiczne, kolegów i koleżanki.

W kwietniu 2016 roku dostałem zaproszenie na testy do klubu piłkarskiego Zagłębie Lubin, a w maju na międzynarodowy turniej do Holandii. Widocznie dobrze się zaprezentowałem, gdyż Zagłębie wykupiło mnie z Karpat. W sierpniu 2016 roku zamieniłem Miasto Szkła na Miasto Miedzi. Obecnie jestem zawodnikiem Zagłębia Lubin i reprezentuję województwo dolnośląskie w kadrze U-15.

Zostałeś równocześnie powołany do reprezentacji Polski U-15...

Było to dla mnie wielkim zaskoczeniem, ale przede wszystkim wyróżnieniem. Na konsultacjach w październiku, w Szamotułach, chciałem zaprezentować się jak najlepiej. Jak widać udało się, skoro zostałem wybrany z dużej grupy chłopaków z całej Polski.

W listopadzie w Wysokiej Mazowieckiej zagrałeś w drużynie reprezentacji Polski, w meczu przeciwko irlandzkiej drużynie. Jakie wrażenia po meczu?

Wrażenia po pierwszym meczu są nie do opisanego. Grałem wiele ważnych meczy ligowych i w kadrze województwa, ale z orzełkiem na piersi po raz pierwszy. Śpiewając hymn, byłem dumny, pojawiła się trema i dreszczyk emocji na początku, ale później wszystko minęło i liczył się tylko mecz, w którym zagrałem 80 minut. Pokonaliśmy Irlandczyków 2:1.



Mieszkaś ponad 500 km od rodzinnego domu. Jak sobie radzisz z rozłąką z rodziną?

Decyzja o wyjeździe była bardzo trudna, ale takim Akademiom jak Zagłębie Lubin się nie odmawia. Na początku było ciężko: nowy klub, trenerzy, koledzy, nowa szkoła i ta odległość 530 km. Ale do wszystkiego można i trzeba się przyzwyczaić, jeżeli chce się coś osiągnąć. Odległość jest duża i rzadko bywam w Głowience, lecz staram się wiele o tym nie myśleć i skupić na nauce i treningach. Poza tym z rodziną jestem w ciągłym kontakcie telefonicznym lub na skype.

Jakie są twoje marzenia?

Moim marzeniem jest zdobyć dobre wykształcenie, rozwijać się jako człowiek i bramkarz, i aby mnie omijały wszelkie urazy i kontuzje. Marzę, jak każdy chłopak, który gra w piłkę, aby w przyszłości zagrać z orzełkiem na koszulce w kadrze narodowej. Wiem, że jest to droga daleka i ciężka.

Na koniec chciałem podziękować moim rodzicom, braciom, kuzynom Tomkowi i Pawłowi, oraz całej rodzinie, która we mnie wierzy i trzyma za mnie kciuki.

Rozmawiała Magdalena Penar

Biegnij, Wiktor, biegnij...

Ciało biegnie do któregoś kilometra, a potem biegnie się głową, bo tylko psychicznie można się zmotywować do dalszego wysiłku...

O Łemkowynie, biegu Rzeźnika i jak ważni są koledzy na trasie, z Wiktorem Mosoniem z Głowienki rozmawia Izabela Półchłopek.



Wiktor Mosoń z trudem dał się namówić na rozmowę. Nie chciałby wyjść na gwiazdora. Tłumaczył, że on przecież biega wyłącznie dla siebie i własnej przyjemności, czołowych miejsc nie zdobywa. Ale my chcieliśmy, aby opowiedział o Łemkowynie Ultra-Trail, znanej imprezie biegowej, która odbywa się w październiku w Beskidzie Niskim. Chcieliśmy pokazać, że wśród ponad 1,5 tys. biegaczy z Polski i innych krajów są również zawodnicy z naszej gminy. Rozmowa o Łemkowynie przerosła się w dłuższą pogawędkę o biegach. Chociaż to nie tylko rozmowa o biegach...

IZABELA PÓŁCHŁOPEK: Łemkowyna Ultra-Trail to znane i cenione w całej Polsce biegi po Beskidzie Niskim. Najdłuższy dystans to 150 km, a najkrótszy 30 km. Na jakim dystansie wystartowałeś?

WIKTOR MOSOŃ: W tym roku wystartowałem na dystansie 48 km, to taki nieco dłuższy maraton. Do pokonania była trasa z Iwonicza Zdroju do Komańczy, wzdłuż głównego, czerwonego szlaku beskidzkiego. Dwa lata temu startowałem w Łemkowynie w biegu na 30 km z Puław Górnych do Komańczy. Po zimie, kiedy kończy się sezon narciarski, z kolegami z klubu MUKS Podkarpacie Jedlicze z nart biegowych „przesiadamy” się na nogi. Uczestniczymy w biegach

ulicznych i górskich, biegach krótkich, maratonach oraz ultramaratonach, czyli biegach dłuższych niż 42 km. Ja bardzo lubię biegać w górach. Lubię także Beskid Niski chociażby ze względów krajobrazowych, bo nie tylko biegam, ale uprawiam też turystykę pieszą. Tutaj jest bardzo ładnie, poza tym szlaki nie są zatłoczone jak w Bieszczadach czy Tatrach.

Podobno warunki na trasie Łemkowyny były ekstremalne.

Ze wszystkich biegów, jakie w tym roku pokonałem, jeśli chodzi o warunki terenowe, to był najtrudniejszy bieg. A zarazem bardzo przyjemny, bo był ekstremalny i dał mi dużo satysfakcji z jego ukończenia. Przez cały tydzień poprzedzający bieg padały ulewne deszcze, więc trasa zamieniła się w bardzo grząski, błotnisty teren. Na trasie małe strumyczki stały się rwącymi potokami, które trzeba było sforsować. Cóż, było błoto, było ślisko, były dość trudne, karkołomne zbiegi, zaliczyłem kilka wywrotek, podobnie zresztą jak spora część startujących. Udało mi się ukończyć bieg na 42. pozycji, w całkiem niezłym czasie 5 h : 48 min.

W takich warunkach przez większość trasy głównie się biegnie czy jednak bardzo szybko idzie?

Podejrzewam, że być może kilka osób z czołówki było w stanie przebiec cały

dystans, natomiast pozostała część zawodników, na niektórych najtrudniejszych odcinkach, szła. Istotną rzeczą jest limit czasu, w którym trzeba się zmieścić. Limity czasu obowiązują też na określonych punktach kontrolnych, więc zdecydowanie większą część trasy trzeba jednak przebiec. Ale niektóre podejścia, chociażby z ekonomicznego punktu widzenia, czasem szybciej się podchodzi niż podbiega, a jeśli dochodzi do tego jeszcze błoto... I to samo jest w przypadku zbiegów.

Oprócz punktów kontrolnych na trasie zlokalizowane są punkty żywieniowe, gdzie można coś przekąsić, napić się oraz uzupełnić płyny w bidonach. Większość uczestników biegnie ze specjalnym, dedykowanym plecakiem biegowym, wyposażonym w bidony oraz bukłak z rurką, przez którą można pić, nie przerywając biegu. Dodatkowo każdy ma ze sobą jakieś własne, sprawdzone żele energetyczne, batony lub inne wysokoenergetyczne przekąski.

Czy coś cię zaskoczyło na trasie?

Tak, napadł mnie pastuch elektryczny. Zaplątałem się w niego, na szczęście nie był pod napięciem i po dłuższej chwili udało mi się z niego wydostać.

Nie miałeś kryzysów, chwil, w których chciałeś zejść z trasy?

Nie, bo ten dystans nie jest dla mnie specjalnie wyczerpujący. Biegałem już dłuższe. Kilka lat temu w Limanowej biegałem stukilometrowy maraton Kierat po Beskidzie Wyspowym. Tam przeżyłem niejeden kryzys, ale tutaj wiedziałem, co mnie czeka – byłem dobrze przygotowany, więc kilometrów ubywało. W tym roku byłem też na Biegu Rzeźnika.

To chyba trudniejszy bieg?

Trudniejszy był na pewno ze względu na dystans, bo do pokonania było nieco ponad osiemdziesiąt kilometrów czerwonym szlakiem beskidzkim, z Komańczy, na metę w okolicach Żubraczego, jednak warunki terenowe były bardziej komfortowe. Nawierzchnia nie była morka, śliska, więc łatwiej pokonywało się trasę, ale przewyższenie, które jest ważne w biegach górskich, w Biegu Rzeźnika wynosiło około 3500 m, a w Łemkowynie 1400 m.

Bieg Rzeźnika pokonuje się parami...

Tak, tutaj istotną rolę odgrywa dopasowanie zawodników pod względem umiejętności oraz tempa biegu. Bardzo dużo skorzystałem z bagażu doświadczeń pochodzącego z Głowienki Jacka Staronia, którego poprosiłem, żeby przebiegł ze mną ten dystans. To był już jego piąty Bieg Rzeźnika, więc lepszego partnera nie mogłem sobie wymarzyć. Dał mi bardzo dużo cennych wskazówek: jak się odżywiać, kiedy pić. Jestem pewien, że gdyby nie Jacek, to po 30 kilometrach usiadłbym na kamieniu w Cisnej i płakał, i biegu bym nie ukończył. Momentami byłem tak zmęczony, że jeść mi się nawet nie chciało. Ale to był tylko taki fałszywy sygnał, a Jacek mnie zmuszał, żeby jeść i pić. Z wyniku tego biegu byłem też zadowolony, bo na ponad 700 par na mecie byliśmy na 58. miejscu. Rzeźnika pokonaliśmy w 11 godzin i 16 minut.

Czy to prawda, że w czasie długich biegów ważniejsza jest głowa niż siła w nogach?

Tak, na pewno oprócz przygotowania fizycznego psychika odgrywa dużą rolę. Mówi się, że ciało biegnie do któregoś tam kilometra, a potem, kiedy mięśnie są już zmęczone i organizm mówi „nie”, to dalej biegnie się głową, bo tylko psychicznie można się zmotywować do dalszego wysiłku.

Odczułeś to?

Praktycznie w każdym dłuższym biegu na dystansie maratonu czy ultramar-



Wiktor Mosoń (po prawej) z Jackiem Staroniem po ukończeniu Biegu Rzeźnika

tonu zawsze się coś takiego odczuwa. Świadomość tego, że trochę będzie bolało, i że nie będzie to superkomfortowe dla naszego organizmu, ma się już przed biegiem. Jednak znaczna część przyjemności z długich biegów pochodzi właśnie ze zdolności pokonywania własnych słabości. W czasie biegu Rzeźnika kryzysy dla mnie zaczęły się po około 40 kilometrach. Mieliśmy już za sobą dystans maratonu i czułem duże zmęczenie, ale Jacek mnie motywował, że jeszcze do przebiegnięcia mamy tylko drugi maraton. Jak przebiegliśmy z tego połowę, to on mi mówił, że został już tylko półmaraton, czyli cztery kółka po Głowience, takie, jak zazwyczaj razem pokonywaliśmy podczas lekkich treningów. I to dobrze na mnie działało. Potem została już tylko „dyszka”, czyli takie małe zawody. W ten sposób dzieliliśmy sobie dystans na kawałki. I to było bieganie głową. Bolesna była jeszcze tylko końcówka biegu, 5 km po asfalcie, bo nagły kontakt z asfaltem, po długim biegu w terenie, jest bardzo bolesny i nieprzyjemny dla organizmu. I przez te ostatnie 5 km przeżywałem istne katusze.

Wcześniej rozmawiałem z wieloma osobami, które pokonały Rzeźnika, i rysowały mi go w bardzo czarnych kolorach: że jak raz go przebiegnę, to już nigdy nie będę chciał powtórzyć tego dystansu, że po biegu pół roku będę dochodził do siebie, że kolana wysiadają, skurcze będą i że będę się śniał. Opinie, które usły-

szalem, na tyle mnie przstraszyły, że do tego biegu podszedłem z dużym respektem. Wolno zaczęliśmy i później było z czego przyspieszyć. Ostatecznie wyszło nieźle. Ani przez chwilę, nawet jak byłem strasznie zmęczony, nie pomyślałem sobie, że to ostatni raz. Wręcz przeciwnie, poczułem, że biegi górskie są atrakcyjne i zacząłem się przedstawiać z krótkich biegów ulicznych, których już trochę miałem za sobą, na górskie. Biegi górskie dłużej zostają w głowie. Człowiek jest korzystnie naładowany emocjami. Było tak, jak Jacek mi mówił: „Zobaczysz, po skończeniu biegu będziesz jeszcze tydzień biegał”. I rzeczywiście, przez jakiś jeszcze czas myślałem o trasie, przeżywałem wszystko ciągle na nowo.

Bardziej czuję się zmęczony np. po dystansie maratońskim na ulicy niż po takim samym dystansie w górach. Na maratonie ulicznym biegnie się zazwyczaj po wynik. Przez cały czas chodzi o utrzymanie tempa, a to ciężka i żmudna praca. W górach nie jesteśmy w stanie tego tempa tak pilnować i jest czas na inne doznania, chociażby podziwianie krajobrazów. Chociaż jak maraton jest w jakimś znanym mieście, np. Berlinie, to też można coś ciekawego zobaczyć. Byłem na dwóch maratonach w Berlinie – to taka atrakcyjna, 42-kilometrowa, szybka wycieczka po mieście. Bardzo ważnym i istotnym elementem każdego biegu ulicznego są kibice, w górach jest ich zdecydowanie mniej.

Byłeś także na ostatnim, lokalnym biegu w Widaczu. Jakie wrażenia?

Najbardziej lubię biegać w naszych okolicach i praktycznie zaliczam wszystkie lokalne biegi. Bardzo je szanuję i uważam, że są bardzo potrzebne. W Widaczu pobiegłem dzień po górskim maratonie „Maraton Beskidy” koło Żywca, bieg przez górę Skrzyczne. W Widaczu wystartowałem, choć podobno po maratonie trzeba odpocząć. Był to świetny krosowy bieg, w trudnych błotnistych warunkach. Oby takich zawodów organizowano jak najwięcej w naszej okolicy.

Skąd takie zamiłowanie do biegania?

W sport bawię się amatorsko, ale na poważnie. Do szkoły zwolnień z wychowania fizycznego nigdy nie nosiłem, ale szczególnie też sportu nie uprawiałem. Rekreacyjnie jeździłem tylko na nartach zjazdowych, aż któregoś dnia mój kolega z pracy Andrzej Pelczar, który trochę z politowaniem przyglądał się moim mało sportowym wyczynom, przyniósł swój medal zdobyty w jakimś biegu i dał mi go. Pamiętam, jak bardzo się z niego cieszyłem. Przyniosłem go do domu, ale potem głupio mi się zrobiło, że dostałem medal, a przecież nie wystartowałem w żadnych zawodach. I to był impuls do rozpoczęcia treningów. Pamiętam, że poszedłem do sklepu i kupiłem wszystko, co potrzebne do biegania. Robert Gleń z Jedlicza napisał mi pierwszy plan treningowy i w 2012 roku wystartowałem w krosnińskim biegu Konsytuacji 3 Maja. Dla zabawy. Zmęczyłem się potwornie, ale bieg ukończyłem. Pomyślałem, że więcej już nie będę biegał. Chciałem odhaczyć to tylko w życiorysie. Ale później, za jakiś czas, był bieg Łukasiewicza na 10 km. W pierwszej chwili pomyślałem jednak, że nie dam rady, bo kiedy ledwo przeżyłem 5 kilometrów, to dziesięciokilometryowy dystans był dla mnie niewyobrażalny. Nie byłem w stanie tego ogarnąć. I ostatecznie nie wystartowałem. Ale potem zaliczyłem kolejne biegi: „piątki”, „siódemki” i Łukasiewicza też pobiegłem w 2013 roku. Zaczęło mi świtać w głowie: przebiegnięcie półmaratonu to jak pokonanie 20 kilometrów z Krosna do Jasła. A kiedy przebiegłem ten półmaraton, zacząłem myśleć o maratonie, zastanawiać się, jak to ogarnąć psychicznie, jak poukładać sobie dystans w głowie. I wymyśliłem sobie, że maraton to jakby przebiec 8 „piątek”. A to da się już zrobić. I pierwszy mój ma-

raton, o wdzięcznej nazwie „Przez Piekło do Nieba”, przebiegłem w Sielpi koło Kielc. Biegłem w towarzystwie mojego doświadczonego kolegi Darka Pasterczyka z Jedlicza. Dobrze mi się z nim biegło, bo ważne jest, by mieć przy sobie kogoś bardziej doświadczonego. Psychiczenie człowiek lepiej się czuje. Darek trzymał tempo i podpowiadał mi, kiedy i co pić.

Po tym maratonie rozwiązał się już worek ze startami. W tym roku osiągnąłem rekordową liczbę startów. Zaliczyłem już 15 biegów na dystansie ponad 20 km, w tym 11 biegów na dystansie maratonu oraz ponad 50 km ultramaratonu. Z Jackiem Staroniem byliśmy też na ultramaratonie nartorolkowym w Wejherowie na północy Polski. Na nartorolkach biegliśmy tam na dystansie 160 km. Jacek wygrał, a ja byłem siódmy. Dużo było w tym roku biegania, praktycznie co tydzień, z wyłączeniem urlopu wakacyjnego, starałem się zaliczyć start w zawodach. Marzę, aby w przyszłym roku pokonać jakiś maraton uliczny w czasie poniżej 3 godzin. To trudne, ale będę próbował. Jak się uda, to później pozostanie już tylko radość z biegania w górach...

Często słyszy się, że podczas maratonu natrafia się na tzw. „ścianę”. Czy doświadczyłeś tego?

Tak, w tym sezonie raz coś takiego zaliczyłem. Zaczyna nagle brakować sił i energii, tempo gwałtownie spada. To się zwykle dzieje na około 30. kilometrze. Ale nic nie dzieje się bez przyczyny. „Ściana” dopada zawodników w następstwie błędów treningowych i żywieniowych na trasie. I żeby się z nią nie zderzyć, trzeba odpowiednio intensywnie i systematycznie trenować.

Biegasz także na nartach.

Tak, sezon mam tak podzielony, że najważniejsze dla mnie są starty na nartach. Zaraził mnie nimi Andrzej Pelczar. Początkowo uważałem, że biegówki zakładają ci, którzy nie umieją jeździć na nartach zjazdowych. Tak to miałem zaszufadkowane. Ale kiedy po raz pierwszy ubrałem narty, które z klubu pożyczył mi Andrzej, po dwóch krokach wywinąłem orła i zobaczyłem, że jest to trudny sport. Pomyślałem sobie: „O, jest wyzwanie”. Zacząłem trenować, a potem z kolegami nawet wystartowałem kilka razy w Biegu Piastów (30 i 50 km) oraz w Mistrzostwach Europy w Maratonach

Narciarskich w Bawarii (pisaliśmy o tym w „Piastunie” nr 2/63 z 2015 roku – przyp. red.). Muszę też powiedzieć, że narciarstwo biegowe jest zdrowszym sportem niż zwyczajne bieganie, bo jest to sport mniej urazowy a jednocześnie bardzo wysiłkowy. Problemem jest jednak to, że potrzebny jest śnieg i trasy narciarskie, o które w naszym terenie dość trudno. Trzeba być zdeterminowanym, aby je samemu udeptywać lub wyjeżdżać na treningi i zawody gdzieś dalej. Kiedyś wystartowałem też w górskim Cross Triathlonie „Mocarny Zbój”. W żartach namówił mnie do niego Andrzej Pelczar, a ja potraktowałem to na poważnie jako kolejne wyzwanie, choć ostatni raz pływałem, gdy byłem na studiach. Tydzień przed zawodami na basenie zrobiłem sobie pseudotrening pływacki, bo chciałem spróbować, czy dam radę pływać przez godzinę. Choć umęczyłem się okropnie, wytrzymałem i zdecydowałem się na start. Oprócz butów do biegania cały sprzęt pożyczyłem. Piankę do triathlonu pożyczyłem od Jacka, a rower od Darka. Pamiętam, jak o 22.00 w nocy pakowaliśmy pożyczony od Darka rower na dach mojego samochodu. On wtedy popatrzył na mnie i z lekkim politowaniem powiedział: „Wiesz co, nie wierzyłem, że się zdecydujesz”. I to mnie „rozwaliło”. Ogarnęło mnie takie przerażenie, że całą noc nie spałem. Ale nie zrezygnowałem. Pamiętam, że z wody jeziora, po przepłynięciu 1,4 km, wyszedłem przedostatni i byłem tak zmęczony, że nie mogłem poznać i znaleźć swojego roweru. Jednak podczas 40-kilometrowej jazdy na rowerze oraz 10 kilometrów biegu udało mi się nawet kilka osób wyprzedzić. Umęczyłem się bardzo, ale triathlon ukończyłem. Potem, już na własnym sprzęcie, wystartowałem jeszcze w tym i kilku innych triathlonach. To było niezwykle wyzwanie i fantastyczna przygoda.

Dlaczego ten sport tak cię wciągnął?

Przekonałem się, że aktywne uprawianie sportu doskonale działa na psychikę, można odreagować stresy. Człowiek w codziennym życiu staje się odporniejszy, już nic tak łatwo nie zaskakuje i nie wyprowadza z równowagi. Człowiek po prostu lepiej się czuje, kiedy jest fizycznie zmęczony.

Rozmawiała Izabela Pótlchłopek

Turniej piłki siatkowej strażaków

26 listopada br. w hali sportowej Szkoły Podstawowej w Głowience odbył się V Powiatowy Turniej Piłki Siatkowej Jednostek Ochotniczych Straży Pożarnych, którego organizatorami byli: Gminny Ośrodek Kultury w Miejscu Piastowym, Ochotnicza Straż Pożarna w Głowience oraz Zarząd Oddziału Powiatowego Związków Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej.

Oficjalnie zawody otworzył Prezes Zarządu Oddziału Powiatowego Związków Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej Jan Kilar w towarzystwie zaproszonych gości: wiceprezesa ZOP ZOSP RP Józefa Tuckiego, sekretarza GZ OSP RP Bernardy Binkowicz, dyrektora Szkoły Podstawowej w Głowience Krzysztofa Romana oraz dyrektora Gminnego Ośrodka Kultury w Miejscu Piastowym Janusza Węgrzyna.

Do turnieju przystąpiło siedem jednostek OSP: z Bratkówki, Długiego, Głowienki, Korczyny, Łęzan, Moderówki i Targowisk. Zostały one rozlosowane do dwóch grup.

W wyniku rywalizacji w grupach do półfinału awansowały drużyny z gr. A – OSP Bratkówka i OSP Gmina Korczyna oraz z gr. B – OSP Długie i OSP Moderówka.

W pierwszym meczu półfinałowym drużyna OSP Długie pokonała OSP Bratkówka w dwóch setach (25:21, 25:23). W drugim meczu OSP Korczyna okazała się lepsza od OSP Moderówka, wygrywając w setach 2:1 (25:22, 17:25, 15:10).

Drużyny OSP Bratkówka i OSP Moderówka rozegrały mecz o trzecie miejsce, w którym zwyciężyli strażacy z Moderówki 2:0 (25:22, 25:19).

W finale pełnym emocji zagrały drużyny OSP Korczyna i OSP Długie. Po bardzo wyrównanym meczu strażacy z OSP Korczyna zostali mistrzami tegorocznego powiatowego turnieju, pokonując jednostkę OSP Długie 2:0 (25:19, 25:19).

Drużyny z miejsc I – III otrzymały pamiątkowe puchary, dyplomy oraz nagrody rzeczowe, pozostałe drużyny puchary i dyplomy za udział. Zostały także przyznane nagrody indywidualne w postaci statuetek: dla najlepszego atakującego – Kamila Szajny i najlepszego rozgrywającego – Sebastiana Stareńczaka (obaj z jednostki OSP Korczyna).

Nagrody wręczali: dyrektor etatowy członek zarządu Powiatu Krośnieńskiego Aleksander Mercik, wiceprezes ZOP ZOSP RP Józef Tucki, dyrektor GOK w Miejscu Piastowym Janusz Węgrzyn oraz naczelnik OSP Głowienka druh Marian Płoucha. Mecze sędziowali: Janusz Eustachiewicz i Jerzy Górka. Zabezpieczenie medyczne pełniła Anna Słyś.

Panie kucharki z SP w Głowience dla wszystkich przygotowały ciepły posiłek. Patronat medialny nad imprezą sprawowali: Krośnieński Portal Ratowniczy krosno112, terazkrosno.pl oraz Dwumiesięcznik Mieszkańców Gminy Miejsce Piastowe PIASTUN.

Leszek Zajdel, fot. Janusz Węgrzyn



I miejsce – OSP Korczyna



II miejsce – OSP Długie



III miejsce – OSP Moderówka

Szcypiornistki z Targowisk na pierwszych miejscach

2 grudnia br. w hali sportowej Szkoły Podstawowej w Rogach odbył się VI Mikołajkowy Turniej Piłki Ręcznej Dziewcząt, którego organizatorem był Gminny Ośrodek Kultury w Miejscu Piastowym.

Do turnieju przystąpiło 5 drużyn w kategorii szkoła podstawowa: Rogi, Targowiska, Zalesie, Łęczany i Wrocanka oraz 2 drużyny w kategorii gimnazjum: Rogi i Targowiska. W kategorii szkoła podstawowa zwyciężyły dziewczęta z Targowisk, drugie miejsce zajęły dziewczęta z Zalesia, a trzecie z Łęczan. Poza podium znalazły się Rogi i Wrocanka.

W kategorii gimnazjum zwyciężyła drużyna z Targowisk, pokonując Rogi 5:4. Zostały także przyznane nagrody indywidualne. Statuetkę najlepszego bramkarza otrzymały Milena Konik (SP Wrocanka) i Karolina Przybyła (Gim. Rogi), najlepszego strzelca – Patrycja Niemczyk (SP Targowiska) i Martyna Józefczyk (Gim. Targowiska), a najlepszego zawodnika – Emilia Majchrowicz (SP Zalesie) i Zuzanna Frydrych (Gim. Targowiska).

Nagrody w postaci pucharów i dyplomów wręczał dyrektor GOK w Miejscu Piastowym Janusz Węgrzyn. Zawody uatrakcyjnił występ czirliderek, które ćwiczą pod okiem instruktorki Barbary Lenik z GOK w Miejscu Piastowym.

Mecze sędziowali: Grażyna Biduś i Łukasz Aszklar. Zabezpieczenie medyczne

pełniła Renata Rygiel. Organizator składa serdeczne podziękowanie dyrektorowi Szkoły Podstawowej w Rogach Małgorzacie Borowskiej za udostępnienie obiektu sportowego do rozegrania turnieju.

*Leszek Zajdel,
fot. Janusz Węgrzyn*



I miejsce – SP Targowiska



I miejsce – Społeczne Gimnazjum w Targowiskach



II miejsce – SP Zalesie



II miejsce – Społeczne Gimnazjum w Rogach



III miejsce – SP Łęczany

114 zawodników (6 listopada) wzięło udział w II Widackim Biegu Niepodległości. Pierwszy na metę, po 28 minutach, przybiegł Hubert Wierdak z Korczyny. Wśród kobiet najszybsza była Katarzyna Albrycht z Krościenka Wyżnego. Oboje chwalili bieg, choć nie ukrywali, że miejscami na trasie było zabójczo.



Ślisko na trasie biegu w Widaczu

W tym roku biegacze mieli do pokonania trasę o 3 km dłużą niż w roku ubiegłym. Ośmiokilometrowa trasa była urozmaicona, prowadziła drogami polnymi, przez las. Trzeba było przeskakiwać rowy i jeszcze zmagać się z błotem, bo lekko mżyło. Ale mimo to Hubert Wierdak, który w widackim biegu wystartował po raz pierwszy i najszybciej przybiegł na metę, mówił, że bieгло się dobrze. – *Było ciepło i bez wiatru – tłumaczył i chwalił wytyczoną trasę. – Bardzo ciekawa trasa, oryginalna. Dzisiaj trudno o taki terenowy bieg. Przez ostatnie lata nie miałem możliwości wystartowania w podobnym biegu. Dużo błota, dużo wody, wszyscy ubrudzeni, ale szczęśliwi jak dzieci. Im brudniejsze, tym szczęśliwsze.*

W biegu wzięł także udział główny jego organizator i pomysłodawca Radosław Sidor. – *W tym roku mogłem sobie na to pozwolić, ponieważ mamy elektroniczny pomiar czasu, który ufundowała posłanka Joanna Frydrych. I w związku z tym mam mniej obowiązków. Byliśmy przygotowani na 150 zawodników. Myślę, że zła pogoda kilka osób wystraszyła, ale i tak jesteśmy bardzo zadowoleni, bo bieg fajnie się nam*

rozkręcił i mówi się o nas coraz więcej. Za rok będzie jeszcze lepiej.

Zawodnicy przyjechali nie tylko z województwa podkarpackiego, ale także ze Słowacji i Ukrainy, pomimo że w kategorii open nie było nagród finansowych.

Tradycyjnie dyplomy, puchary i upominki otrzymały trzy najszybsze osoby w poszczególnych kategoriach wiekowych (wyniki na www.miejscepiastowe.pl). Wśród zawodników rozlosowano 40 nagród rzeczowych, nagrodą główną w losowaniu był komputer treningowy – polar M400. Wylosowała go Agnieszka Galica-Niepokój w Wrocanki. Każdy zawodnik otrzymał oryginalny medal.

Nagrody dostali również: Leopold Jamro (najstarszy zawodnik), Izabela Zatorska (najstarsza zawodniczka i najszybsza zawodniczka z gminy Miejsce Piastowe), Kacper Bemben (najmłodszy zawodnik), Stanisław Górniak (najszybszy zawodnik z Widacza), Bartłomiej Raś (najszybszy zawodnik z gminy Miejsce Piastowe). Nagrodzono także Lidię i Joachima Krzywik z Gliwic, zawodników, którzy przyjechali z miejscowości najbardziej oddalonej od Widacza.

Nagrody, puchary i dyplomy zawodnikom wręczali: posłanka na Sejm RP Joanna Frydrych, wójt Gminy Marek Klara, przewodniczący Rady Gminy Wiktor Skwara oraz dyrektor biegu Radosław Sidor.

Po biegu zawodnicy mogli posilić się przygotowaną przez restaurację Posmakuj zupą pomidorową, taką samą, jaka rozgrzewała biegaczy na mecie Łemkowsyna Ultra Trail. Było także ognisko, przy którym można było sobie upiec kiełbaski i rozgrzać się trunkami zrobionymi przez sołtysa Stanisława Kokozkę.

Organizatorami biegu byli: Gmina Miejsce Piastowe, Gminny Ośrodek Kultury w Miejscu Piastowym i rada sołecka, a wsparli go: firma Glasmark, restauracja Posmakuj, firma Lostark, Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska SOPEX, PGNiG Sanok, firma Walter, Provident, Millennium Bank, Siłownia SkyActiv, F.P.H. Jerzy Rygiel, Delikatesy Centrum Łężany, S.O.S Ambulans Anita Rzępska, Uzdrowisko Rymanów Zdrój. Patronat medialny objęły: TeleKrosno, terazKrosno oraz „Piastun”.

Tekst i fot. IP



Sygnal do startu dała posłanka Joanna Frydrych



Start i meta biegu była przy Domu Ludowym w Widaczu



Restauracja Posmakuj Pawła Dobrzańskiego z Targowisk przygotowała rozgrzewającą zupę dla biegaczy



Wśród zawodników rozlosowano 40 nagród rzeczowych



Wśród kobiet najszybsza była Katarzyna Albrycht. Gratulacje składa jej przewodniczący Rady Gminy Wiktor Skwara



Hubert Wierdak pierwszy przybiegł na metę



Organizatorzy przygotowali także ognisko

Strażacy z Głowienki – wolontariuszami „Szlachetnej Paczki”

Gabriela Kuźnar z Głowienki, liderka projektu „Szlachetna Paczka” na region krośnieński, zwróciła się z prośbą do wójty Gminy Miejsce Piastowe o pomoc w rozwożeniu paczek dla potrzebujących. Jak zwykle niezawodni okazali się strażacy z OSP w Głowience na czele z prezesem Jackiem Kuźnarem i naczelnikiem Marianem Płuchą. Ponad 10 wolontariuszy z OSP w Głowience rozwoziło w dniach 9 - 11 grudnia 2016 roku paczki na terenie naszego powiatu. Poruszając się samochodem pożarniczym i użyczonym samochodem dostawczym, przejechali prawie 1000 km, dostarczając paczki do kilkudziesięciu rodzin. Ofiarowali swój czas, by rodziny, których los czasami ciężko doświadcza, mogły godnie spędzić święta.

*Bernarda Binkowicz,
fot. Szlachetna Paczka*



Mikołaj z prezentami u Małych Rogowiców i solistów Studia Gama

Już po raz drugi, 6 grudnia, w Rogach, najmłodszy artyści skupieni w zespole Mali Rogowice oraz członkowie Studia Gama spotkali się z Mikołajem. Radości i uciechy było co niemiara. Tegoroczne prezenty były wyjątkowo bogate, a ciężkie paczki dla niektórych, szczególnie najmłodszych dzieci stanowiły nie lada wyzwanie, by odebrać je z rąk Mikołaja.

Serdecznie dziękujemy wójtowi Markowi Klarze oraz dyrektorowi Januszowi Węgrzynowi za wsparcie finansowe Mikołaja w przygotowaniu tych okazałych paczek.

Józefa Knap, instruktor

